

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:
 W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.
 W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.
 W W. Ks. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.
 W Galicyi: Rocznie złr. 12.—Półrocznie str. 6.

PISMO TYGODNIOWE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzye. Rękopisma nadesłane nie zwracają się.
 Ogłoszenia do Roli przyjmuje się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.
 Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Świat Nr. 4.

PRZECIW TANDECIE!...

(markowanie wyrobów rzemieślniczych).

(Dokończenie).

— Czy pan, panie Józefie, będziesz już do śmierci pracował tylko na tych majstrów?—czy pan, taki porządny, taki zdolny człowiek, nie możesz mieć własnego warsztatu i pracować dla siebie?

— Zapewne, byłoby to dobrze, ale z kąd wziąć pieniędzy na warsztat i narzędzia? A choćby nawet i przyszło do tego że miałbym swój warsztat, to czy to teraz tak łatwo o robotę? — czy to mało firm już znanych i wyrobionych, z którymi ja, początkujący, nie mógłbym wytrzymać konkurencji?

— Co pana ma o to głowa boleć, kiedy ja, co pana znam i dobrze panu życzę, na wszystko znajdę radę... Na warsztat ja panu dam pieniędzy — i robotę także panu dam. Ja mam duże obstalunki do Cesarstwa, — robotę będziesz pan miał ciągle, a pieniądze pan mi odrobisz; ja nie żądam, broń Boże, żebyś mi pan zwracał gotówką. Nu, i czy to zły interes dla pana? Będziesz pan majstrem, będziesz robił dla siebie i u siebie; — czy to panu źle będzie? Po co pan masz drugich tylko wzbogacać, kiedy sam możesz zrobić majątek! aj, aj, jaki jeszcze majątek!

Tak ów zły duch, o którym mówiliśmy w numerze poprzednim, kusi rzemieślnika, pragnąc go pozyskać dla siebie, dla swojej nędznej spekulacji. Rzemieślnik ów, to czeladnik nieraz bardzo nawet uczciwy, pracowity i zdolny. Pracuje on u majstra polskiego, w porządnie prowadzonym warsztacie i mógłby pracować dalej, dopóki naprzykład uzbierana oszczędność nie pozwoliłaby mu otworzyć warsztaciku na własną rękę i dorabiać się dalej, — gdyby na tej jego drodze nie znalazł się — żyd. On daje mu i pieniądze na warsztat i zarobek gotowy — jakże więc nie przyjąć takiej propozycji, takiego — dobrodziejstwa?!

Po pewnym też wahaniu, czeladnik zgadza się na owe propozycje, przyjmuje od żyda-przedsiębiorcy, prowadzącego „wielkie interesa z Cesarstwem“ jakieś 100 — 200 albo 300 rubli, za wystawieniem mu, naturalnie, odpowiedniego dokumentu, wynajmuje lokal, urządza sobie warsztat i — abiera się do roboty, której istotnie dobroczyńca dostarcza mu obficie. Umówiwszy się z przedsiębiorcą o cenę (od sztuki), nasz czeladnik, a obecnie już majster, z początku robi dobrze, lub przynajmniej nieźle. Zarobek jego jest wprawdzie bardzo mały, lecz robota jest ciągła, a to przecież znaczy bardzo dużo. Rzemieślnik też przyjmuje czeladników, przyjmuje uczniów, rozszerza warsztat i robi stale — dla żyda. Taki stosunek trwa przez przeciąg jakiś: cza-

sem miesiąc, czasem dwa i więcej. Naraz zjawia się przedsięwzięcie z nową, mniej już ponętą, propozycją.

— Wiesz pan co, panie Józefie, ja nie wychodzę na swoje; teraz tam w Cesarstwie nie chcą płacić takich cen za nasz towar jak płacili dawniej, ja panu będę płacił nie o wiele, tylko o 10 kopiejeczek mniej na sztuce...

— Jakto? — pyta majster zdumiony — toć to cały jest prawie mój zarobek! — ja nie mogę robić dalej po takiej cenie — w żaden sposób nie mogę!

— Nu, jak pan nie możesz, to ja pana przymuszać też nie mogę, tylko pan oddaj mi dług, a interes będzie z nami skończony.

Nieszczęsny dług teraz dopiero występuje na scenę, a rzemieślnik po raz pierwszy uczuwa czem mu grozi owo założenie warsztatu — owo rzekome dobrodziejstwo. On, przy dużej, stałej robocie terminowej, powiększać musiał przedsiębiorstwo i zapas materiałów, robić wkłady ciągłe, o spłacie zaś „forszusu“ nawet myśleć nie mógł. Żyd zresztą nie upominał się o to — płacił za robotę bieżącą, dostarczaną na termin, a dług długiem pozostał. Pieniądzy gotowych i teraz nieszczęsny człowiek nie ma, więc rad nie rad, przystaje na warunki nowe. Przystaje, ale równocześnie poczyna przemyśliwać nad środkami produkcji t a n s z e j , i to jest właściwy wstęp do wyrabiania t a n d e t y. Bierze więc materiał „podlejszy“, odprawia czeladników, powiększając natomiast liczbę uczniów i robi dalej tylko że robi znacznie — gorzej. Stosunek ten trwa znowu czas pewien, poczem ze strony onego dobrodziejcy-przedsiębiorcy następuje nowa propozycja nowego obciążenia płacy zarobkowej od sztuki, nowe upominanie się o dług i nowe zgodzenie się rzemieślnika na warunki — nowe.

Tym razem jednak, rzemieślnik nie krępuje się już w produkowaniu lichoty. Jeżeli naprzykład jest on szewcem, daje zamiast prawdziwych, p a p i e r o w e podeszwy i robi dalej jeszcze, w tej nadziei błogiej, że nareszcie wyzwoli się i wybrnie z nieszczęsnego długu.

Niestety, marzenie to próżne, gdyż ostatecznie ów biedny pupil starozakonnego dobroczyńcy spostrzega przed sobą dwie tylko alternatywy: albo być dalej sługą, niewolnikiem, białym murzynem przedsiębiorcy, albo być przezeń zlicytowanym, zrujnowanym i przyprowadzonym do nędzy.

Co wybrać? Większość wybiera pierwsze, to jest robi w dalszym ciągu fuszerkę i tandetę, dla mniejszości zaś przyszłość odrazu staje się opłakaną, bo „fuszera który robił u żyda“ żaden majster polski do siebie przyjąć nie chce i roboty mu nie da.

Jeżeli dodamy teraz, że w całej opowieści powyższej która lepiej chyba maluje położenie rzeczy, niżli wszelkie traktaty teoretyczne „o stanie rzemiosł naszych“, — jeżeli,

mówię, dodamy, że w całej tej opowieści niema ani słowa przesady lub nieprawdy, że są to fakta możliwe każdej chwili do sprawdzenia na gruncie, toć zrozumiemy łatwo, czemu zawdzięczać należy zdyskredytowanie wyrobów naszych na rynkach Cesarstwa i jak bolesną krzywdę rzemiosłu polskiemu wyrządza owa, na wielką skalę uprawiana, t a n d e t a — tandeta, będąca dziełem żywiołu, co dla każdej pracy uczciwej stanowi plagę i nieszczęście. A jeżeli powtórzymy jeszcze to, cośmy już zaznaczyli w pierwszej części artykułu naszego, że takich rzemieślników, pozostających na lasce i niełasce żyda, i dzięki tylko temu produkujących ową nędzną fuszerkę, liczyć już można w samej tylko Warszawie na tysiące, że według zebranych przez nas danych, samych szewców, zostających w takiej służbie i niewoli żydowskiej, jest w Warszawie z górą 1,500, to zgodzimy się chyba, że rozciągnięcie jakiejś kontroli nad tą forsowną produkcją „tanią“ należy obecnie do najżywotniejszych spraw, związanych z bytem i przyszłością naszego rękodzielnictwa.

Tu leży kwestya nie już podniesienia, ale ratunku rzemiosł naszych — na które żyd wykonywa zamach zabójczy.

Jednym ze sposobów owej właśnie kontroli ma być wprowadzone obecnie na porządek dzienny w Oddziale tułejszym Towarz. popierania przemysłu i handlu, markowanie wyrobów rzemieślniczych, wysyłanych od nas na dalsze rynki zbytu. Mówiąc krótko, idzie mianowicie o to, iżby rynkom owym, przez odpowiednie rozpowszechnienie odnośnych wiadomości, dać pewność, że jest w Warszawie organ, który czuwa nad tem, aby nie wysyłano tam lichej, na oszustwo obliczonej tandety, że organ ów daje w tym względzie odpowiednią rękojmię i że odpowiada za te tylko wyroby, które oznaczone będą właściwą, tak nazwaną „marką“.

Będzie li to środek skuteczny? Ha, zależy to w znacznym stopniu od sposobu jego przeprowadzenia, czyli, jak w tej chwili, zależy to od wybranej w sekcji IV-tej specjalnie do tej sprawy delegacji, której opracowanie odpowiedniego memoriału zostało powierzonym. Oczekując też jak najrychlejszego rezultatu narad i prac tej delegacji, nadmienimy jedynie, iż byłoby ze wszech miar pożądanem, aby do jej składu, obok mularzy i fabrykantów powozów, którzy już tam są, a których sprawa ta najmniej bez pośrednio dotyczy, zaproszono przedewszystkiem szewców,

krawców i przedstawicieli innych jeszcze fachów, dla których ograniczenie produkcji i eksportu tandety staje się już pro prostu kwestyą istnienia.

W każdym razie, samo wystąpienie przeciw tandecie — za pośrednictwem takiego właśnie organu jakim jest Towarz. popierania przemysłu i handlu, uważamy za zupełnie słuszne i racjonalne; a wystąpienie to wydało nam się przytem potrzebą tak palącą, że od uzasadnienia jej w artykule niniejszym nie mogły nas powstrzymać wszelkie prawdopodobne gromy, jakie na nas znów spadną. Trudno; — żyd dławi, dusi, rujnuje — i rzemiosło polskie, ratunku więc i tutaj wołać trzeba! Obyż tylko nie przyszedł on za późno.

J. Jeleński.

TRAGEDYA ŻYCIA.

(Wspomnienie w każdym słowie prawdziwe).

Przed rokiem upłynęło lat trzydzieści. Byłem wtedy chłopcem dziesięcioletnim. Nieboszczyk ojciec przywiózł mnie do Lwowa i zapisał do tak zwanego gimnazjum „polskiego“, które dlatego tak się nazywało, że kilka przedmiotów wykładano w niem po polsku. Gimnazjum było małe, mieściło się w niepokazanej kamieniczce obok kościoła katedralnego, i rzadko jaki ojciec, w epoce reakcyi i germanizmu, odważył się do niego posyłać swoich synów. Niektórych profesorów do dziś pamiętam. Ówczesny nasz katecheta, ks. Solecki, jest teraz biskupem przemyskim, a pan Stanek należy obecnie do wybitniejszych profesorów uniwersytetu lwowskiego. Przypominam sobie także ś. p. Henryka Sucheckiego, znanego gramatykarza, który od przytomności odchodził, jeżeli jaki uczeń, pisząc np. okazja, zamiast j, dał y. Od tego czasu zostałem i ja zapalonym „jotystą“ i takim chyba umrę.

W pierwszej klasie miałem kolegów kilkudziesięciu, ale między nimi pokochałem najbardziej Władysława Humińskiego. Był to chłopczek o lat kilka odemnie starszy, gdyż ojciec jego, biedny szlachcic zagrodowy, nie mógł syna wcześniej do szkół posłać, szczerpy, cichy, łagodny i nad wyraz słodki. W szkole siedzieliśmy obok siebie; po za szkołą, on prawie cały czas, z wyjątkiem nocy, spędzał w moim mieszkaniu. Uczyliśmy się razem, rozmawiali i na przyszłość różowe plany układali. Władysław był biedny, bardzo biedny... Książki nie miał żadnej, gdy zima nadeszła, chodził w cieniuteńkim surduciku, ciepła strawa na objad była dla niego zbytkiem. A mimo to, uczył się pilnie, nigdy się nie skarżył, zawsze był słodki, uśmiechnięty... Widzę go jeszcze stojącego naprzeciw mnie koło stolika, z głową przechyloną, spoglądającego na mnie z rzewnem uczuciem, wpływającym ze szczerej przyjaźni i słyszę jak mówi:

Późno już było, gdy Julian zęgnął się na werendzie. Stojąc, długo jeszcze rozmawiał, nakoniec uściskał gospodarza, Wandzię serdecznie w rękę ucałował i odjechał.

Dziewica zaniepokojona, rozmarzona, stała przy oknie, odprowadzając wzrokiem młodzienca.

— Walny chłopak, jak babcię Kocham, walny! — przemówił pan Ludwik. Wielka szkoda, że nie mieszka w naszej okolicy... Mielibyśmy, ten tego, przyjemne sąsiedztwo... Nieprawdaż Wandziu?

— Prawda, stryjaszku... bardzo przyjemny...

— I podobał ci się, co?

— Tak... nie przeczę...

— O! wiem, że ci się podobał, jak babcię Kocham, wiem! Uważałem to już w Zarzeczu... A ty jemu... strach jakieś mu się podobała!

— Ja mu się podobałam? — zapytała Wandzia ze zdziwieniem.

— Nie udawaj Wandziu, nie udawaj! Jak babcię Kocham, to zabawne... Niby to nie widziałas, że się tylko w ciebie wpatrywał. A na łące, gdy go Olesia przedstawiała, zgłupiał z krete sem ciebie zobaczywszy! Już to ja ten tego zawsze mówiłem, że kto ciebie zobaczy, musi zgłupieć.

— Nie bardzo to o mnie pochlebnie świadczy — wtrąciła Wandzia.

— Przeciwnie, panienka powinna zawsze mężczyzną

PRZEZ DOLINĘ ŁEZ.

POWIEŚĆ

Józefa Rogosza.

(Dalszy ciąg).

— Mnie nie pozwala znowu moje zajęcie, ale ponieważ rok rocznie bywam w Warszawie i w tych stronach, więc, jeżeli państwo pozwolą, prócz Zarzecza, będę każdym razem odwiedzał i Piławice...

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się pan Ludwik — on prosi o pozwolenie! Jak babcię Kocham, to wyborne! Panie Juliano, czyś zwaryował?... Przecie znamy się nie od dziś i Kocham cię jak syna... Przyjeżdżaj więc, ten tego, kiedy zechcesz, a zawsze będziesz nam miłym gościem! My cię bardzo Kochamy, jak babcię Kocham, bardzo! Nieprawdaż Wandziu?..

Zapytanie stryjaszka zbyt było szczere, by Wandzia mogła na nie odpowiedzieć. Spłonęła lekko i głowę zwiesiła, co widząc, młody człowiek szybko sprowadził rozmowę na inny przedmiot, za co mu szczerze była wdzięczną. Kilka razy brał kapelusze i chciał się zęgnąć, lecz zostawał, mając jeszcze coś do powiedzenia.

— Szczęśliwyś, Józefie, że możesz się uczyć spokojnie! Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Mróz onej zimy był siarczysty; gonty z dachów wyskakiwały, a wróble, jak mówiono, marzły na drzewach i na ziemię nieżywe padały. Rodzice moi, zamieszkali o pięć mil od Lwowa, donieśli mi, że dla zbyt wielkiego zimna nie wezmą mnie na święta do domu. Bolesć moja była bez granic. Nietylko żałowałem że rodziców nie zobaczę, ale niemniej i tego, że nie będę miał sposobności pokazać im mego przyjaciela, Władysława, z którego byłem dumny, i że on, biedaczek, nawet na święta lepiej się nie pożywi. Nie mogąc żadną miarą pogodzić się z tą smutną koniecznością, ułożyłem plan równie zuchwały jak lekkomyślny, którego o mało życiem nie przypłaciłem. Oto, nakłoniwszy Władysława, postanowiłem, bądź co bądź, pojechać z nim koniecznie do mego domu, a że miałem 30 krajcarów, sumę niezmiernie wielką, więc nie wątpiłem, iż uda mi się szczęśliwie szalony zamiar przeprowadzić. Jedną tylko trudność stała na zawadzie: zbyt lekki strój Władysława. Ale i na to znalazł się sposób: z mojej kołdry postanowiłem zrobić mu paletot. Stało się, jakeśmy uradzili. Wybrawszy dzień targowy, wtedy bowiem z wiosek i miasteczek było dużo wieśniaków we Lwowie, wymknąłem się niepostrzeżenie z mego mieszkania, unosząc kołdrę z sobą, a po niejakiem czasie znalazłem się na ulicy Grodeckiej, gdzie w miejscu umówionem oczekiwał mnie Władysław. Na prędcie zrobiliśmy rodzaj kapy, sznurkami powiązanej w którą biedaczek się ustroił. Gdym go teraz zobaczył, mimowolnie zawołałem:

— Wiesz co, wyglądasz jak ksiądz!

Uśmiechnął się i odpowiedział:

— Dałby Bóg, żebym nim kiedy został!

Wyszukaliśmy chłopca z Gródka, który za 20 krajca rów podjął się odwieźć nas do tego miasta. Zapłaciłem i przeżegnawszy się, ruszyliśmy w drogę. Jak i kiedy minęliśmy tę przestrzeń czteromilową, tego już dziś nie pamiętam. Tyle sobie tylko przypominam, że gdyśmy w Gródku stanęli, noc była ciemniejsza; o dalszej podróży nie było więc mowy. Po krótkiej naradzie, udaliśmy się do domu zajezdnego, w którym jeszcze się świeciło, i dopiero nazajutrz rano zamierzaliśmy się puścić znów w drogę. Żyd przenocował nas za 10 krajcarów. Gdy świtać zaczęło, zbudziliśmy się bez grosza. Śniadania nie było za co zjeść, koni nie było za co nająć, a do domu moich rodziców miałem jeszcze całą milę drogi uciążliwej, bo polnej, na której śniegi w pas leżały. Wprawdzie, w Gródku mogłem odszukać znajomych mego ojca i o konie ich prosić, lecz wstyd nie pozwolił mi tego uczynić. Postanowiliśmy więc iść dalej pieszo.

I szliśmy jeden obok drugiego, na czczo, głodni, mróz siarczysty nawskroś nas przenikał, a wiatr bił w oczy i śniegiem zasypywał. Droga była niewyraźna, ledwie gdzieś widne były na niej wierzby staruszki, lub grusze rozczochrane, ale ja prowadziłem mego przyjaciela

do tego doprowadzić. Niech się każdy kocha i niech głupieje.

— Alboż miłość takie za sobą skutki pociąga?

— A jakież? Przecie miłość i głupota, to jedno, jak babcię Kocham jedno! A on już się kocha, dam szyję ten tego, że się kocha! Bo i po cóż by dziś tu przyjeżdżał? Zналиśmy się, prawda, lecz u mnie nigdy nie bywał, a dziś ni ztąd ni zowąd zjeżdża we fraku i pół dnia siedzi... To nie bez ale, jak babcię Kocham, nie bez ale.

— Pojedzie i więcej nie wróci... mieszka tak daleko— szepnęła Wandzia.

— Wróci, wierz mi Wandziu, jak babcię Kocham wrócił To nie trzpiot, nie! Zresztą ma wuj bogatego, który dziś lub jutro klapnie, bo już bardzo stary, więc kto wie czy ten tego nie sprowadzi się tu do nas. Dziś wuj chłopca mężczy, trzyma go przy sobie i każe mu handlować, obrazami, czy jakimś tam innym lichem, zwyczajnie jak stary dziwak, ale niech no jeno oczy zamknie, pan Julian z pewnością wyniesie się ze Lwowa.

— Jeżeli tu zamieszka — przemówiła znowu Wandzia trochę się wahając — to z pewnością ożeni się z Olesią...

— Z Olesią? Kto ci to powiedział?

— Zdaje mi się, że ona nim bardzo zajęta...

— A choćby i tak... cóż z tego?

— Jest piękna... bogata...

z całą pewnością, że nie zblądzymy, bo któryś chłopiec nie zna drogi do domu swoich rodziców. Znałem drogę, lecz nie znałem jeszcze swoich sił. W każdym razie, mniejsze one były w chłopcu dziesięcioletnim niż jego wyobraźnia... Byliśmy może w połowie, w miejscu odludnem, wśród natury rozszalałej, zewsząd bowiem wiatr niósł śniegu tumany, gdy takie uczulem znużenie, że musiałem stanąć i usiąść. A ledwie usiadł, ogarnęła mnie senność przyjemna, rozkoszna... Przyklnąłem więc oczy i zacząłem usypiać... Władysław, widząc to, chwycił mnie za ramię, trzęsąc i wołał żebym wstał. Ja go zaklinam, żeby mi pozwolił przespąć się chwilę, ale on z płaczem krzyczy:

— Wstawaj, Józefie, wstawaj!

Ten płacz ocucił mnie; zebrałem resztę sił i wstałem. Poczciwy mój przyjaciel uratował mi życie!

Szliśmy dalej znużeni, bezsilni, omdlewający; przez całą drogę nie spotkaliśmy nigdzie żywej duszy, ale koło południa dostaliśmy się istnym cudem na pagórek, z którego było już widać dom moich rodziców.

Jakiego wrażenia oni doznali, gdy spostrzegli swego syna dziesięcioletniego, prowadzącego za rękę ukochanego kolegę, gdy pomyśleli, ile razy te dzieci mogły w drodze na śmierć zamarznąć, zaiste, tylko ten to zrozumie, kto sam jest ojcem i w czyjem sercu tkwią prawdziwie ludzkie uczucia!

Tydzień spędziliśmy w ciepłym pokoju, wśród atmosfery miłością przesiąkniętej; żadnego z nas nawet głowa nie zabolęła; już nazajutrz zapomnieliśmy cośmy przebyli; a gdy po tygodniu ojciec do Lwowa nas odwoził, Władysław rzucił mi się na szyję i zawołał:

— Dziękuję ci, żem tak rozkoszny tydzień spędził!

Skończył się rok szkolny i obaj przyjaciele musieli się rozłączyć. Jam uczęszczał dalej do szkół we Lwowie, Władysław Humiński przeniósł się do Brzeżan, gdyż jego ojciec mógł go tam łatwiej utrzymać.

Minęło lat dwadzieścia.

W tym czasie z dzieci wyrosli mężczyźni, a wypadki krajowe wielu z nich poroznosiły po świecie, jak wiatr roznosi liście po polach. W tym czasie przeniosłem się do innych szkół, a potem lat kilka spędziłem w Niemczech, Włoszech i we Francji, a wróciwszy do kraju, poświęciłem się publicystyce. W ciągu tego dwudziestolecia miałem setki nowych kolegów, poznałem tysiące nowych ludzi, pozawiazywałem nowe stosunki przyjacielskie i zrobiłem sobie krocie nieprzyjaciół. Ale w tym tłumie różnorodnym, jedna twarz przedstawiała mi się wyraźniej niż wszystkie inne, pamięć moja często ku niej się zwracała, i okiem duszy widziałem główkę przechyloną, wzrok łagodny i uśmiech słodki. Była to twarzyczka pierwszego mego przyjaciela z „parwy“ — Władysława Humińskiego. Gdzie się on teraz obraca?

Było to w roku 1877. Na wystawę lwowską zjeżdżali się ludzie z wszystkich stron. Z całej Galicyi, z Królestwa

— Furda Wandziu, jak babcię Kocham furda! Nie od dziś na nich patrzę i wiem ten tego, że ona jemu ani w głowie. Być może iż dziewczę się rozmarzyło, bo komu by się nie podobał? Chłopiec jak bursztyn, jak babcię Kocham, jak bursztyn! Ale jemu to nawet przez myśl nie przeszło...

Wandzia z przyjemnością tych słów słuchała. Julian uderzył ją jeszcze wtedy, gdy pierwszy raz ujrzała go w kościele Maryackim; od tego czasu myślała o nim często, co dzień prawie, odkąd go zaś poznała, stał ciągle w jej pamięci piękny, miły i wielki. Tak jest, chociaż jeszcze nie miała sposobności bliżej go poznać, jej serce przeczuwało w nim ideał mężczyzny, obdarzonego wszystkimi przymiotami duszy.

XXII.

Pan Stanisław wrócił w humorze najgorszym; był zamysłony, ponury. Zauważył to pierwszy Michał, który go woził do Warszawy. Jadąc tam, nie raz z nim rozmawiał, o różne go rzeczy wypytując—z powrotem ust nie otworzył. Nawet nie wstąpił do żadnego sąsiada. W oberżach stawał na noc i na obiad.

Gdy do domu przyjechali, brata, który wybiegł na jego spotkanie, przywitał bardzo zimno, a Wandzię zaledwie przelotnie w czoło pocałował. Biedna dziewczyna odczuwając nowe nieszczęście, wpatrzyła się niespokojnie w twarz

nawet z Wielkopolski. choć ta prowincja żyje w największym odosobnieniu. Dnia pewnego, gdy siedział w redakcji, drzwi się odchyliły, i cichutko, niesmiało, z głową przechyloną, wszedł ksiądz w długiej sutannie. Podniosłem głowę i krzyknęłem uradowany. Przedemną stał Władysław Humiński. Poznałem go od pierwszego wejrzenia, choć nie widzieliśmy się lat 20!

Cośmy wtedy z sobą mówili, kogoby to mogło obchodzić... Wiem, że w tych kilku godzinach któreśmy spędzili, przypomniałem sobie całe nasze życie, i że nam było dobrze, bardzo dobrze... Władysław prawie nic się nie zmienił. Wychudł tylko bardziej, a wyraz jego twarzy zrobił się jeszcze słodszy. Skończył seminaryum, został księdzem, zawinął do portu.

— Wiesz co — rzekł między innymi — zdaje mi się, że nie miałbym już żadnych pragnień i byłbym całkiem szczęśliwy, gdyby nie to jedno, że jako wikary nie mam kąta spokojnego... Wciąż trzeba się tłuc po świecie i mieć do czynienia z ludźmi rozmaitymi. Prócz tego, i zdrowie moje nie tegie... W nędzy żyło się za młodu, a teraz trzeba nieraz mieszkać w pokoju tak wilgotnym, że woda leje się po ścianach. Radbym także dopomóc mojej rodzinie biednej, a cóż dla niej dziś uczynię, gdy sam biedny jak Hiob...

Pocieszałem go, jak mogłem. Słuchał, dziękował, ale smutno głową potrząsał.

— Przyjdzie chleb, przyjdzie — szeptał — ale kto wie czy nie wtedy, gdy go już nie będzie można jeść...

W rok po tej rozmowie ożeniłem się, a pożegnawszy Lwów i wzięwszy rozbrat z bezowocną w nim walką, przeniosłem się na wieś, do Nowego-Sioła, miejscowości położonej o trzy mile od miasta Stryja.

Upłynęło kilka lat. W Stryju bywałem rzadko, chyba wtedy, gdy na kolej jechał. Zdarzyło się jednak raz, że miał ktoś do mnie przyjechać z zagranicy, na którego trzeba było na stacyi czekać. Ponieważ przyjechałem za wcześnie, udałem się więc do miasta. Przechodząc koło kościoła, a była to godzina popołudniowa, ujrzałem wielki tłum ludzi, cisnący się do drzwi wchodowych. Wszedłem, przeciskam się z trudnością do wielkiego ołtarza, i kogo tam widzę? Na środku kościoła, w białej komeżce, z głową przechyloną, ze słodkim uśmiechem na bladej twarzy, stoi mój przyjaciel stary, ks. Władysław Humiński i głosem łagodnym, do serca przenikającym, katechizuje dziatwę, co się w koło niego tłoczy. Ujrzał mnie i poznał. Uśmiech weselszy twarz mu rozjaśnił, lecz nie przestał nauczać i dalej katechizował. Dopiero gdy swój obowiązek spełnił, poszliśmy do zakrystyi.

— Co ty tu robisz? — pytałem.

— Dano mi administrację, gdyż proboszcz tutejszy umarł. Dopiero wczoraj dowiedziałem się że mieszkasz w Nowem-Siole, więc dlatego nie doniosłem ci o sobie. Ale czy zgadłbyś, co mi się dzisiejszej nocy śniło?—dalej mówił. Przeszedłeś do mnie, jakby teraz na jawie, i rzekłeś wyraźnie: Rada miasta Stryja da ci probostwo ośmnastu głosami!

ojca, by z niej tajemnicę wyczytać; on jednak poszedł zaraz do swego pokoju, w którym się zamkał. Córka słyszała jego kroki, to spokojne, to przyspieszone, jakby się nad czemś namyślał lub na coś przygotowywał.

Całe trzy dni bracia prawie z sobą nie rozmawiali. Młodszy unikał starszego, starszy nie miał odwagi przemówić do młodszego. Śniadanie pili osobno, przy obiedzie zbywali się półśłówkami, wieczorem p. Stanisław siedział zamysłony w swoim pokoju, a p. Ludwik bądź z Wandzią rozmawiał, bądź jechał do Zarzecza na preferansa.

Nareszcie czwartego dnia zaczęły sprawdzać się przepowiednie mecenasa. Przed południem zjechały na raz aż dwie komisje sądowe, z których pierwsza oglądała pola i zabudowania gospodarskie, druga spisywała bydło, konie, sprzęty gospodarskie i wszystkie w domu ruchomości. Pan Ludwik chodził z twarzą czerwoną, rozgorączkowany, gniewny, a mówiąc z członkami komisyi, nie raz się unosił. Pan Stanisław udawał, jakby nie widział, co się w koło niego działo — Wandzia zaś, zamknięta w swoim pokoiku gorzko płakała. Ona rozumiała że na ich dom waliło się nieszczęście.

Po wyjeździe komisyi, pan Stanisław przyszedł do brata i tak przemówił:

— Zdaje mi się, Ludwiku, że czas już byśmy sobie zdali sprawę z tego, co się dzieje. Ty mnie chyba ciągle

— Bardzo mnie to cieszy — odpowiedziałem — a skoro pierwsza połowa snu już się sprawdziła, bo w tej chwili widzisz mnie przed sobą, więc da Bóg że i druga się ziści...

— Ja o tem nawet nie marzę!—odparł i ręką machnął. Probostwo stryjskie to beneficjum, jakich w kraju niewiele... dwa folwarki i kapitały. Jabym się i mniejszem zadowolili, byłem raz osiadł gdzie spokojnie...

W kilka tygodni otrzymuję bilet tej treści:

„Dnia ... moja instalacja na probostwo stryjskie. Rada miejska udzieliła mi prezentę 18 głosami. Spodziewam się że przyjedziesz. Sam nie wiem jak Bogu za tyle łaski dziękować. Twój — ks. Władysław Humiński.“

O dobre to beneficjum starało się bardzo wielu księży; między nimi mieli niektórzy nawet wielką protekcję. A mimo to nie dostał go z nich żaden, tylko ks. Humiński. A dlaczego? Bo mieszczenie stryjscy, patrząc na jego cnoty, na jego żarliwość kapłańską i na słodycz jego charakteru, powiedzieli sobie, iż o lepszym proboszczu nawet marzyć nie mogą. Przez czas swojej administracji tak sobie ich serca zaskarbił, że za nic w świecie nie byliby go ze swego miasta wypuścili.

Huczna była instalacja. Starosta, marszałek powiatowy, generał dowodzący załogą miejscową, szlachta okoliczna, reprezentanci szkół, sądu i mieszczaństwa, wszyscy zgromadzili się na tę uroczystość. Wznoszono rozmaite toasty, a mnie kazano spełnić kielich na cześć staropolskiego „Kochajmy się“! Wypadło przy tej sposobności coś powiedzieć. Ale co? Nie namyślając się długo, opowiedziałem, jak z solenizantem pokochaliśmy się w pierwszej klasie gimnazyalnej, jak ręka w rękę szliśmy onego dnia wśród śniegu, mrozu i burzy, jak on mi wtedy życie uratował, jak później widzieliśmy się jeden raz tylko, i jak teraz znaleźliśmy się obok siebie, aby się już więcej nie rozłączyć i kochać się do końca życia. Widziałem, że wielu słuchało mojej opowieści z rzewnem uczuciem, lecz byli i tacy, którzy w chwili gdy opowiadał, iż ze Lwowa puściliśmy się wśród zimy, bez futer i z 30-tu krajcami, uśmiechali się z politowaniem!...

W pierwszym zaraz roku po otrzymaniu probostwa stryjskiego, ks. Humiński zajął się odnowieniem miejscowego kościoła, który znajdował się w stanie nader opłakanym. Nie jadł, nie spał, nie odpoczywał, tylko od rana do wieczora rozpisywał listy, zbierał składki, doglądał robotników, a gdy mu raz zrobił uwagę, żeby się więcej szanował, odrzekł mi z uśmiechem:

— A dla kogóż mam żyć, jeżeli nie dla Kościoła i nie dla moich parafian?

Wszystkie swoje dochody obracał na ten cel piękny, a sobie nie kupił nawet nowej sutanny. Dokonał nareszcie wielkiego dzieła i kościół stryjski, pamiętający czasy Kazimierza W., stanął w nowej szacie. Miasto było uszczęśliwione, a ktokolwiek mówił o proboszczu, miał łzy w oczach. Ks. Humiński nie rozpatrzył się jeszcze w swoim dziele,

uważasz za małego, za dziecko, skoro dotąd nie powiedziałeś mi jeszcze całej prawdy. Wstydz się Ludwiku, wstydz! Nie spodziewałem się tego po tobie.

Pan Stanisław mówił spokojnie, chociaż z naciskiem i pewną goryczą.

— W imię Ojca i Syna! — zawołał pan Ludwik, rękę do czoła podnosząc, jakby chciał się przeżegnać — A tobie Stachu co się stało? Alboż, ten tego, zataiłem co przed tobą? Czyż nie postępowałem z tobą jak brat rodzony? Stachu! zlituj się, co ci jest?!

Brat uśmiechnął się boleśnie.

— Wszystko mi powiedziałeś? — zapytał — a czy powiedziałeś, że jesteś zniszczony, że długi przewyższają wartość Piławic, że dziś jutro wypędzą nas z tej ziemi, która od czterystu lat była w posiadaniu naszej rodziny?

— To nieprawda, jak mi Bóg miły, nieprawda! — krzyknął pan Ludwik.

— A cóż znaczyli ci ludzie, którzy tu cały dzień spisywali i oceniali?

— To głupstwo, jak babcie... słowo honoru, głupstwo!

— A więc powiedz, co to znaczyć miało?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

gdy nagle wybuchł pożar w Stryju, niszczy całe miasto a z niem i kościół. Prócz murów, nic z niego nie zostało. Straszna ta katastrofa zajmowała się cała Europa.

Nazajutrz po pożarze pospieszyłem go odwiedzić. Był chory i poparzony, gdyż z płonącego już probostwa, z narażeniem życia, ratował księgi metrykalne. Ocalały one wszystkie. Pocieszałem go, mówiąc, że świat katolicki nie zapomni o jego kościele. Uśmiechał się, dziękował i wciąż powtarzał:

— Daj Boże! Daj Boże!

Zaczęła się praca uciążliwa, bez godziny spoczynku. Starał się o fundusze, zbierał składki, kołatał do Sejmu, urządzał loterye fantowe, rozpisывał listy po całym świecie, zaczął robotę ab ovo, a równocześnie ratował pogorzalców, pełnił sumiennie obowiązki kapłańskie, był dla wszystkich przyjacielem i ojcem. Nareszcie, dzięki swojej niezłomowanej pracy i wytrwałości, do tego doprowadził, że około Bożego Narodzenia kościół był już na zewnątrz prawie całkiem odnowiony i zaczął go wewnątrz malować. Gdy mi go pokazywał, cieszył się jak dziecko.

— Da Bóg szczęśliwie doczekać jeszcze rok, a będę gotów! — powiedział mi na odejdzem, życząc świąt wesółych.

Ale podczas świąt miał zajęcia niesłychanie wiele, a on od żadnego nigdy się nie usuwał. Spowiadał, grzebał, głosił Słowo Boże w zimnej świątyni. Po jednym takim kazaniu wyszedł spocony, na dworze był wiatr mroźny, zawiało go i dostał bólu gardła.

Gdy na początku Marca r. b. jechał do Warszawy, znów go odwiedziłem. Był cierpiący, ale myśleliśmy że to zwykłe przeziębienie. Gdy go jednak zobaczyłem w czternaście dni po moim powrocie, osłupiałem. Zastałem go na środku pokoju, wychudzonego straszliwie, z twarzą żółtą, powleczoneą samą tylko skórą... Jedne oczy jakoś dziwnie mu się świeciły. Stał z głową przechyloną i ujrawszy mnie, uśmiechnął się żałośnie.

— Władysławie, co ci jest? — zawołałem.

Wziął mnie za rękę, pokazał na gardło i rzekł głosem ledwie dosłyszalnym:

— Tu .. tu... Jest chleb, ale jeść go nie można... Chciałem spocząć, spoczną, ale na wieki...

W osm dni później już nie żył.

A kiedy wieść o jego śmierci rozbiegła się po mieście, wszyscy płakali, bo każdy czuł, że zmarł kapłan wzorowy, mąż prawy, że zgasł charakter kryształowy, a jedna dusza świetlana pożegnała tę ziemię na wieki. I żal ogarnął wszystkie serca, a kiedy, dni temu kilka, z przed kościoła w Stryju ruszył orszak pogrzebowy, widziano w nim miasto całe: polaków i rusinów, Niemców, nawet żydów. Szli wszyscy oddać ostatnią posługę cichemu pracownikowi, którego życie całe było jedną tragedią.

Pokój twoim popiołom, Władysławie, o ty mój najpierwszy i najlepszy przyjacielu!

Nowe-Sioło pod Stryjem, dnia 4 Kwietnia 1887 roku.

Józef Rogosz.

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

(Dalszy ciąg.)

Niemcy i rossyjanie, na szczęście, lepiej bronili naszych interesów, aniżeli nasi ministrowie, i konferencja nędznie spełzła na niczem. P. Waddington był niepokieszony.

Co się tyczy zachowania się Barrera, to było jeszcze dziwniejsze. Wiadomo, z jakim zajęciem cała Europa śledziła to, co się działo w Egipcie, we Wrześniu 1884 roku, w chwili gdy mówiono o zawieszeniu amortyzacji długu. Aby służyć swemu krajowi, lord Northbrook, jako dobry angił, porzucił wystawne życie, polowania, piękną rezydencję w Forham, w hrabstwie Hampshire. Barrere, lichy komunard, zostawszy ministrem francuzkim w Egipcie, nie raczył się znaleźć na swoim stanowisku: „Cóż oni sobie myślą, że ja, który w r. 1871 strzelałem do sztandaru francuzkiego w obliczu prusaków, będę go bronił w Kairze przed anglikami?” Tak zapewne rozumował sobie ten dyplomata oportunistyczny.

Francuzki pełnomocnik w komisji długu, pan Lechevallier, wybrał również tę chwilę aby się udać na willegiaturę.

Wszędzie zresztą spotykamy Waddingtonów i Barrerów. W dzienniku angiłskim „Statist“, w Sierpniu 1884

roku, jakiś dyplomata skreślił humorystyczny a bolesny dla nas, cośmy zachowali jeszcze serce francuzkie, obraz tego, czem była nasza polityka zagraniczna, oddana na łaskę awanturników z całej Europy. Pozbyto się powoli ludzi fachowych, a powierzono sprawy żydom z wszelakich krajów; gdy jakiś dyplomata zawarł przypadkiem traktat korzystny, wypierano się go dlatego, że nie zawarował korzyści dla żydów.

„W r. 1880—mówi dziennik angiłski—Francja przybiera w Afryce postawę wojowniczą. Gambetta, któremu chodziło o opinię publiczną we Włoszech, wyprawia do Rzymu i do Tunisu dyplomata rasowego, wytrawnego dwudziestopięcioletniem doświadczeniem. Baron Billing uspokaja niechęć włoską i zawiera traktat wyborny pod każdym względem; — wypierają się go wykpigrosze oportunistów, gdyż nie znajdują w nim kopalni złota do wyzyskiwania. Nastąpił najazd na Tunis, narzucono bejowi traktat w Bardo. Komuż poruczono jego spisanie? P. Breardowi, generałowi brygady, zupełnie nieznanemu, i p. Roustanowi, agencikowi czysto handlowemu.

„W Chinach, zręczny i wytrawny dyplomata, pan Bourrée, zawiera traktat równie korzystny, jak konwencja tunetańska, podpisana u Kassar-Saïd przez bar. Billinga. Frakcja oportunistów unieważniła go czempredzej, a Francja rzuciła się w negocjacje w całym tego słowa znaczeniu błazeńskie, prowadzone przez lekarzy od marynarki, komendantów awizów, celników pruskich. Nie idzie dalej. Miejmy nadzieję, że niebawem ujrzymy Courcel'a lub Saint-Valliera dowodzących pancernikami.

„Na dwa lata przed śmiercią, Gambetta, czując potrzebę napełnienia kieszeni żydowskich swego niemieckokosmopolitycznego otoczenia, chciał przeprowadzić konwersję długu włoskiego. Zamiast wysłać w tej misji do Rzymu inspektora generalnego finansów, wpadł na concept wysłania tam żyda hiszpańskiego Ruiza, pieczeniara pani Arnaud.

„Wiadomo jak tego kawalera smutnej postaci przyjął Konsulta, z margrabią Maffeim na czele. Stojąc u zenitu swojej kariery, Gambetta zapragnął uzyskać audyencję u Bismarka. Wysłał tedy na zwiady deputowanego algierskiego, byłego komisarza celnego w Marsylii, po którym niebawem wyprawił drugiego deputowanego, bazgracza w wolnych chwilach, przedsiębiorcę różnych loteryj, handlarza dziegłem z Niortu. Żyd bankier Bleichröder, mimo najlepszej woli, nie na to nie pomógł; negocjacje zrobiły brzydkie fiasko.“

Żydzi na zewnątrz mieli Waddingtona, na wewnątrz zaś Leona Say'a. Leon Say, który słusznie czy nie, uchodzi za brata Alfonsa Rotszylda, jest kreaturą króla żydowskiego, chełpi się tem że nosi jego liberyę, przychodzi co rano, jako wierny komisant, do niego po hasło, wszystko robi jedynie dla niego, przez niego i z nim. Narzucając go republice Rotszyldowie oprócz tej satysfakcji że się stali nieograniczonymi-panami rynku finansowego, doświadczali jeszcze tej pełnej dumy radości, iż jednego ze swoich oficyalistów widzą zasiadającego w rządzie tej Francji, którą nie raczyli rządzić sami.

Prawdziwym mistrzem żydowstwa francuzkiego, tym, w którym Izrael i Massonerya pokładali najdroższe nadzieje, był Gambetta.

W zamian za władzę, żydzi żądali od Gambetty czterech rzeczy:

1. Interesów do szachrowania.
2. Prześladowania religijnego, wyrzucenia ze szkół tego Chrystusa, który ich raził, zamknięcia tych szkół z których wyszło tylu ludzi znakomitych, i w których wychowywano dzieci na dobrych chrześcian i dobrych francuzów.
3. Prawa bezpieczeństwa publicznego, któreby pozwoliło, w przyjaznej porze, uzupełnić dzieło komuny, i pod pozorem że są recydywistami, włóczęgami, rajfurami wypędzić mnóstwo francuzów z ziemi rodzinnej, a w ich miejsce osadzić żydów rossyjskich, niemieckich, rumuńskich, słowem wszystkich którzyby uczuli potrzebę zmiany miejsca pobytu.
4. W końcu żądali wojny.

Interesów do szachrowania dostarczył im Gambetta tyle ile tylko chcieli, urządził fałszywą konwersję przy pomocy Leona Say'a; przeprowadził tak zyskowny wykup kolei żelaznych lokalnych na rzecz państwa.

Było to poprostu powtórzenie tego co się stało w Niemczech. Centrum zdołało tam wprowadzić przeszkodzić wykupieniu wszystkich linii kolejowych przez rząd, ale książę Bismark kazał na rachunek Prus zakupić pewną liczbę

linij, a żydzi na tej operacji wynoszącej d w a n a ś c i e m i l i o n ó w, najmniej pięć zarobili. Postępowali oni tak jak później mieli postąpić we Francji; uprzedzeni z góry, postarali się o spadek akcji, wyknpili je wtedy, a potem kazali sobie zapłacić po kursie emisyjnym. Parlament pruski, przyznać to trzeba, uczciwszym się okazał od naszych deputowanych, którzy wszyscy mieli udział w tej szacherce, i nawet się z tem nie kryli. Kiedy Meybach zaproponował aby rząd wykupił po 23 akcje kolei Rinnah, stojące za ledwie na 8, powstał taki krzyk w zgromadzeniu, że musiał swego wniosku zaniechać. We Francji republikanie byliby poprostu zapytali się ministra robót publicznych: „A po ile każdy z nas zarobi?...“

Co się tyczy przesładowania, wiadomo w jaki sposób urządził je Gambetta, zapomocą Constans'ów i Carot'ów.

Przygotowanie prawa o proskrypcji zlecił Reinachowi a przedstawienie go w izbie panu Valdeck-Rousseau.

Wszystko to dla żydów były fraszki.

Wiadomo, że oni lubią mówić parabolami, figurycznie, co wtajemniczeni rozumieją doskonale. Na dwa miesiące przed wojną 1870 r. nie mogłeś rozmawiać z dwoma osobami, choć cokolwiek w bieg rzeczy wtajemniczonemi, żeby nie usłyszeć o odwróceniu biegu Nilu. Odwrócić bieg Nilu znacząco przenieść wpływ Francji do Niemiec. Od r. 1872 była mowa o wielkiej sprawie. Bogacze gawędzili o niej w Operze lub w klubie. Najubożsi synowie Izraela, popijając czarną kawę, odzywali się od czasu do czasu, że czasy są blizkie, i że oni także będą mieli zamki, pałace i polowania.

Wielka sprawa rzeczywiście, tak wielka że żaden wypadek historyczny nie miał takiego rozgłosu.

Miliardy, które nieszczęśliwi francuzi bez rachuby włożyli w budżet wojenny, zostały roztrwonione; zrobiono wszystko co było można aby zasiać w sercach niezgodę i nienawiść; armia została umiejętnie zdeorganizowana; nic nie było gotowego; przekonano się o tem, kiedy Farré, chcąc wysłać jeden pułk do Tunisu, musiał brać ludzi z Brives, konie z Perpignan, a siodła z Wersalu.

Postawcie tę dezorganizację wobec groźnej organizacji niemieckiej a odgadnięcie rezultat. Zaledwie byłby czas na zaciągnięcie małej pożyczki a już nieprzyjacieli siedziałby nam na karku, sciskałby nas za gardło, podczas gdy jakiś tam książę Frigolet albo jaki Thibaudin byłby próbował wprawić w ruch tę straszliwą maszynę mobilizacji, do której kierownictwa potrzebaby chyba Napoleona.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Idealy belletrystyki pozytywnej.

(Dalszy ciąg.)

Sama osnowa Historii o pra-pra-pra-dziadku i jego pra-pra-pra wnukach określa stanowisko, jakie Teodor Tomasz Jeż zajął wobec chłopów. Jest to stanowisko członka „Towarzystwa demokratycznego“, kwitnącego w czasie młodości autora. Nie opuścił go Jeż nawet w „Wnuku Chorążego“, chociaż napisał między tym utworem a „Pra-pra-pra-wnukiem“ kilka powiastek, które świadczą, że autor ich przejął się bardzo żywo zasadami pozytywizmu warszawskiego.

Jako demokrat z czasów „Towarzystwa“ i „Centralizacji“ domaga się Jeż bez względu na równość stanów, uszanowania człowieka w człowieku, a jako obywatel i publicysta — opieki mocniejszych i światlejszych nad słabszymi i ciemniejszymi.

Niewolnictwo ery starożytnej zniosło już chrześcijaństwo, nie czyniąc różnicy między królem a wozowodą. W obliczu sprawiedliwości Pana nad Panów, niema rozkazujących i sług, są tylko zasłużeni i potępieni.

I pobłażliwość dla upośledzonych przez los wywodzi się z Ewangelii, z miłości bliźniego z której wykwitł obowiązek.

Dopóki nie nadejdzie od tak dawna marzona epoka szczęśliwości powszechnej, niechże wszyscy pisarze przypominają jednostce możniejszej za Jeżem obowiązki bogaczów względem nędzarzów, śmiejących się względem płaczących. Czy zaś będą nawoływali w imieniu demokracji czy arystokracji, postępu albo zachowawczości — rzecz obojętna. Podaj rękę, gdy ją ktoś do ciebie wyciąga, otrzyj łzę, kiedy nadarza się sposobność, bądź... chrześcianinem, szlachetnym, a świat przebaczy ci osobiste sympatyje i antypatyje.

Świeżo wymyślona etyka pozytywna, naukowa, niezaw-

isła, czy jak się tam inaczej nazywa, nie pochwała „filantropii“, miłosierdzia i t. p. „przesądów“ zwietrzałych. Odkryła ona „altruizm“, który jest wstydliwie zamaskowanym egoizmem i powierzyła mu zbudowanie moralności (!) dla przyszłych pokoleń. Życzymy temu nowemu robotnikowi powodzenia, a trzymajmy się tymczasem starych, „wstecznych“ poglądów, odnosnie do obowiązków nie tylko obywatelskich, lecz wprost ludzkich. Będzie to niezawodnie rozumniej, a nawet praktyczniej.

W powieściach dawniejszych Jeża zajmuje obowiązek, surowy, nieubłagany, naczelne miejsce. Dla niego odpycha Kuźma nagrody i honory, dla niego wyrzeka się chorąży Ksawery syna Stanisława, na jego ołtarzu składa Jan marzenia swoje, a Adam miliony i kapryśne serce pięknej żydówki. Panuje on wszechwładnie nad bohaterami autora „Historii“.

Są też to rzeczywiście „bohaterowie“. Zacni, mężcy, z wolą i charakterem. Czuć, że wykula ich dłoń pisarza, który, zahartowawszy się w twardem życiu, nauczył się pogardy dla drobiazgowych pragnień i tęsknot zniewieszczonego serca.

Imienników swoich nie potrzebuje się Jeż wstydzić. Gdyby było więcej takich, należałaby „kwestya włościątka“ w krótkim czasie do widm bezpowrotnych.

Demokracja w ten sposób pojęta, schodząca się zupełnie z prawdziwą arystokracją i chrześcijaństwem, lub, jeżeli się ten termin komuś lepiej podoba, z zasadami humanitaryzmu, nie może mieć przeciwników między ludźmi uczciwymi i rozumnymi. Wielcy arystokraci bywali zawsze opiekunami i przyjaciółmi słabych a ubogich.

Inna jednak rzecz, gdy się demokracja zamyka w ciasnych granicach doktryny, gdy stawia w miejscu zasady eksperyment społeczny. Świeżą do tego ilustracją jest obecna chłopomania grupy publicystów warszawskich, zgromadzonych pod znakami „Głosu“, a domagających się „podporządkowania interesów wszystkich warstw pod dobro jednej“. Szczególna to demokracja, która pozwała żyć tylko jednej kascie narodu.

To samo dałoby się powiedzieć o spółkach rolniczych, projektowanych przez Jeża. Korzyść byłaby w takich stowarzyszeniach głównie po stronie mniejszego właściciela, bo większy daje nie tylko $\frac{1}{10}$ kapitału i swoją inteligencję, ale nadomiar musi się narażać na niesłychany trud przekonywania ciemnego wieśniaka. Ile przykrości wynika prawie zawsze z najlepszych chęci światłego obywatela, wykazał sam Jeż w „Wnuku Chorążego“. Adam miał do czynienia tylko z jednym Muchomorskim, a byłby się niezawodnie zniechęcił, gdyby mu fantazja i tendencja autora nie były przyszyły w pomoc. W życiu bywa takich Muchomorskich w jednej wsi daleko więcej, czego dowodem obecne sprawy serwitutowe.

Zamiast eksperymentować spółkami i doktrynami, należałoby sobie poprostu powiedzieć: trzeba przygotować chłopą do godności obywatelskiej, postarać się o to, aby go stosownie do jego potrzeb oświecić i uszlachetnić, a reszta znajdzie się sama. Stokroć silniejszą dźwignią do wszelakich „podporządkowań“ jest charakter człowieka. Rozumny i prawy chłop odczuje konieczność zgody i przyjaźni z możniejszym sąsiadem, głupi i zły będzie zazdrościł bogatszemu, choćby go miliony „Głosów“ dźwigały w górę. Wychowanie oparte na etyce nie pozytywnej, lecz chrześcijańskiej, nie na samolubstwie, tylko na miłości bliźniego i świadomości położenia, rozbudzonej nie przez nienawiść, jeno przez pobłażliwość, sprawi więcej cudów, niż najmądrsze najsztuczniejsze teorie.

A przecież — można zgodzić się, lub też nie, na tendencyjny optymizm autora „Historii“, można jego spółki rolnicze nazwać marzeniami, utopiami, projektami bez doniosłości praktycznej, a jego Kuźmów i Jerynki przesadnie dodatnio odmalowanymi postaciami, — tego jednak nie zaprzeczy nikt, że powieści w rodzaju owych „Pra-pra-pra-dziadków“, i „Pra-pra-pra-wnuków“ zostaną na zawsze cennymi pamiątkami zamkniętych epok, że spełniły w swoim czasie obywatelską misję, wskazując czytelnikowi drogę do pracy szlachetnej.

Lecz Jeż, idealista w pierwszej grupie swych powieści społecznych, zapragnął w drugiej wawrznów realisty w rozumieniu pozytywnem, laurów beletrysty.. krytycznego.

Silny prąd bezwzględego krytycyzmu, przesiąkły wyziewami pozytywizmu Zachodu, powiał, jak wiadomo w latach ostatnich, nad całym społeczeństwem.

— Wszystko w co wierzone dawniej, o czym marzono, myślano, co robiono, zasługuje na potępienie, bo wydało

owoce szkodliwe. Trzeba zerwać most, łączący dziś i wczoraj, i inne, lepsze zbudować jutro. Precz z przeszłością, tradycjami, przesądami, upiorami, precz przedewszystkiem ze szlachtą, która jest tej przeszłości, tej tradycji grzeszną przedstawicielką!

Ona zgubiła kraj, naraziła nas swemi zachciankami na straty i nieszczęścia. Miejsce jej zajmą „ludzie nowi“... inżynierowie, kupcy, przemysłowcy, przyrodnicy i t. p. „bohaterowie“. Nie uczucia i zapaly wytworzą stan pożądany, lecz rozum i trzeźwość. Dobrobyt i wiedza! oto jedynie hasła, godne XIX stulecia!

Trudno dziwić się młodzieży, że zbłądziła. Ale — Jez? Po za nim stało przecież długie życie, wrażeń pełne i doświadczeń. Wojownik i pisarz nieposledniej miary, mąż dojrzały i wypróbowany, powinien był zapanować nad prądem chwili, który porwał w wiry swoje całe pokolenie.

Tymczasem był on właśnie jako beletrysta najzaciętszym, najzjadliwszym „krytykiem“, wybraawszy sobie głównie szlachtę za przedmiot do drugiej grupy swych powieści społecznych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA POSTERUNKU.

Co mi daje książka — jaką mam przed sobą. — Ach, jak tu dobrze! — Odświeżanie atmosfery myśli. — Drugie wydanie. — Zbytek pesymizmu i pozytywnego pajacostwa. — Spowiedź autora i parę z tej spowiedzi urywków. Dlaczego się rozpisal o książce p. Dębickiego i gdziebym ja chciał wiedzieć? — Sprzeniewierzenie się roli i powinności kronikarza. — I ja zapragnąłem odetchnąć. — Zajęcie nie najmiłsze. — Wierzajcie!

Mam przed sobą książkę, której czytanie daje mi, mniej więcej, takie samo uczucie, jakiego doznaje jakiś stały lokator jakiejś wilgotnej suterenu na Starem Mieście, Piwnej, Gołębiej, lub innej w tym rodzaju dzielnicy syreniego grodu, — przeuiesiony odrazu, w piękny dzień majowy, między wzgórzem, łąki i lasy, między łany zielone, falujące swobodnie na otwartej, niezmiernie szerokiej przestrzeni.

Ach, jak tu dobrze, szepcze on do siebie, wciągając we wklęsłe, spragnione swoje piersi powietrze pełne siły odżywczej i woni balsamicznej, jak tu serce bije jakoś żywiej, swobodniej, jak tu myśl rwie się jakoś różniej do Boga, co tak cudny świat stworzył — jak tu dobrze — jak dobrze!

Ach, jak tu dobrze — powtarza i wasz sługa, przerzucając karty, z których wieje taka świeżość, przejrystość i podniosłość myśli, z jaką dzisiaj niełatwo jest się spotkać. Ba, gdzież tam! Z rozlicznych nor, nie staromiejskich wprawdzie, ale pseudo-postępowych, wydobywa się dzisiaj tyle zgnitych wyziewów, że mogłyby one zatruć nam już ze szczętem całą atmosferę duchową, gdyby jej nie odświeżały twory umysłów wyższych, szlachetniejszych, co jak czysta, świeża woń pól, lasów i łąk, wlewają w zgorzkniałe dusze ludzkie nową iskrę życia, podnosząc je nad poziom wszelkich nędz, miernot i małostek ziemskich.

Do takich ożywczych tworów w świecie myśli polskiej i nawskroś chrześcijańskiej, należy niezawodnie książka, autora znanego już z rozprawy — O bezwyznanio wości i naszym czytelnikom, Władysława Michała Dębickiego, p. t. „Nieśmiertelność człowieka“ — książka wydana świeżo (nakładem księgarni Cithurusa) w drugim już wydaniu. Tak, w drugim, i to właśnie jest faktem godnym zaznaczenia, bodajby jak na teraz, w kronikarskiej gawędce. Widocznie ludziom przyjadły się owe różne pasztety, przyrządzane na sposób büchnerowski, przekładane trunizną beznadziejnego pesymizmu, a podlewane sosem bezgranicznej, bezczelnej, pseudo-naukowej pychy i wolnomysłnego pajacostwa — skoro szukają strawy wprost przeciwej. Widocznie dość już mamy propagandy „nowego ducha czasu“, szerzącej wkoło zgniliznę i zarazę, jeżeli poważne dzieło „zacofańca“, w niedługim stosunkowo czasie, doczekało się wyczerpania i nowej edycji, podczas gdy płody pewnych extra-fein postępów, pewnych mistrzów od — fałszu, wydane znacznie wcześniej, mogą być w pierwszym jeszcze wydaniu nabywane — na funty.

Ale bo też ów zacofany autor nad wszelkimi derwiszami pogańskiego postępu ma olbrzymią przewagę. — Jego siła tkwi nie w kuglarstwie słowa, nie w tem dyalektycznym układaniu i rzucaniu frazesów, na dnie których, dla rozumnych, mieści się — pustka, nicość, uluda, a dla głupich — trucizna, ale w głębokości własnego, skryzalizowanego przekonania, w czystej jak lza i niezmożonej wierze w to, co mówi lub pisze.

Chcecie próbki, a więc posłuchajcie bodaj paru uryw-

ków własnego wyznania, własnej spowiedzi autora, zamieszczonej na czele tej przepięknej rozprawy.

I autor, gotujący się już dzisiaj do służby i godności kapłańskiej, miał chwile, w których Schopenhauer, Hartmann, Leopardi i inni opowiadacze rozpaczliwej beznadziejności, mieniący życie człowieka bezcelową drwiną z jego różnej niemocy, a śmierć „snem nieprzespanym w którym się nie śni“ — byli jego ulubieńcami.

„Wyznaję — mówi autor — i nie sromam się wyznania tego, że najgorętszem a pono i jedynem naówczas pragnieniem mojem było, żeby twierdzenia te pesymistów skryzalizować się mogły w umyśle moim w prawdy apodaktyczne, niezbite, nieomyłne.

„Zdrowy, doktrynerstwem niespaczony rozsądek wskazywałby mi wówczas, co począć, by się uwolnić z więzów położenia, które nad wyraz wszelki nieznośnym mi było; — ten sam rozsądek co nauczał mnie stale, że tylko wartogłowy uprawiają sztukę dla sztuki, znoją się dla znoju samego, cierpią dla cierpienia, bez celu i bez jutra.

„Jąłem tedy rozpatrywać zagadkę życia i zgonu środkami, na jakie stać człowieka — więc własnym i cudzym namysłem.

I widocznie „rozpatrywanie“ było podjęte z dobrą i szlachetną wolą, — „namysł“ ów podsyćnianym być musiał szczerem pragnieniem poznania czystej, nieskażonej prawdy, skoro w umyśle pełnego zapału badacza nastąpiła reakcja, wobec której, nawet „w chwilach smutku, zgryzoty i boleści“, uczul się „cierpliwym, spokojniejszym — szczęśliwym“!

„W chwilach prób i niedoli zaciskam usta, by głupia skarga, lub stokroć głupsze bluźnierstwo nie przedarło się przez nie. Zaciskam usta i czekam, co los przyniesie, lub walczę gdy mogę. Walczę — bo zrozumiałe mi życie, bom znowu chrześcianin i ufam w jutrznię po nocy tego życia, a ufam niezmożenie.

„Rezygnacya — mówi dalej autor w tej swojej, pełnej złotych myśli spowiedzi — synowskie poddanie się tajnym wyrokom tego Rozumu, co nas bez woli naszej do bytu powołał, jest dla mnie dzisiaj szczytem mądrości teoretycznej i zdrowego rozsądku. Ciemny kmieć polski, z wiarą i z westchnieniem mówiący: „Bądź wola Twoja“, jest w oczach moich filozofem i wielkim. Ale za obłąkańca, za lichą głowę, lub za kuglarza mam każdego apostoła nirwany, który, obiecując ludziom zgnicie tylko po zgonie, śmie jednak nawoływać ich głośno do postępu, do mężstwa, do honoru i cnoty; który wzamian za nicość wymaga rzeczy największych — cierpienia i trudu.

„Tak, zaprawdę! Bo albo życie każdej jednostki jest czemś poważnym i świętem, albo jest rzeczą marną; albo jest przygotowaniem do innej formy bytu, pielgrzymką do podwojów świątyni, gdzie stanąć trzeba przed arką z czystymi rękoma i usty, — albo też jest przechadzką bez znaczenia, bez planu i bez celu.

„Jeżeli poważnym i świętem jest życie ludzkie, poważne też i święte są jego obowiązki, a wówczas hasła takie jak: postęp, honor, prawda i t. p., nie są tylko strzępami podarłego sztandaru ludzkości, jak je w „Nieboskiej komedii“ nazywa sceptyk Pankracy.

„Jeżeli zaś na to jedynie walczy i znoi się człowiek, by po śmierci, w nagrodę męczeństwa i trudu, użył swym trupem kawałek gruntu, by służył za karm' robakom, za nawóz trawie i zielsku, — tedy, zaiste, obranym być trzeba z rozumu, by mieć cokolwiek za poważne i święte.“

Zaiste, jakże śmiesznie i mizernie razem, wobec tej siły argumentów człowieka jasnych, szczerych i gorąco odczutyh przekonani, wygląda cała ta szarlatanerya pseudo-naukowa i filozoficzna przeróżnych büchnerzątek, renaniątek, darwiniątek warszawskich!

A jest to tylko maleńka, mówię, próbka argumentów tych, jakimi autor w dalszym ciągu swej pracy rozmiądzia one „zasadnicze hipotezy materyalizmu“ o istocie i przeznaczeniu człowieka, a rozmiądzia na podstawach najściślejszej naukowych, na podstawie teoryj ustalonych przez najnowsze postępy nauk fizycznych.

Nieśmiertelność człowieka — zgodnie z zapowiedzią autora we wstępie — nieśmiertelność, stanowiąca najczęściej przedmiot materyalistowskich szyderstw i napaści, przedstawia nam się tutaj istotnie „jako niennikniony, matematycznie pewny postulat filozoficzny przyrodoznawstwa, czyli jako zasada filozofii natury“.

Rozpisałem się o książce p. Dębickiego, gdyż, wyznaję to szczerze, pragnąłbym z serca jak najszerzego jej rozpowszechnienia, gdyż pragnąłbym widzieć ją jak najrychlej nie w drugim, lecz w dwóchsetnym wydaniu; — radbym ją

widzieć wszędzie, gdzie ból, rozpacz, zwątpienie, szarpnięcie niedosę meżne, hartowne dusze ludzkie, i gdzie hydra dziesiętę postępu zwierzęcego czyha niegodziwie na najwyższe dobro, na najdroższe skarby człowieka: na jego wierzenia i ideały z matczynych piersi wyssane. Rozpisałem się o tej pracy młodego filozofa, gdyż stojąc na swoim posterunku, uważam sobie za prosty obowiązek, nie tylko obnażać złe, nikczemne i niskie z szat obłudnej dbałości o „dobro społeczeństwa“, w jakie ono stroić się zwykło, ale i wskazywać dobre, piękne, szlachetne, gdziekolwiek się znajduje.

Rozpisałem się przeto o książce p. Dębickiego tak, że na zarejestrowanie zwyczajnych spraw bieżących nie staje mi już miejsca. Wybaczcie czytelnicy to sprzeniewierzenie się kronikarskiej powinności mojej. Toć przecie, jak ów stały mieszkanię cuchnących, staromiejskich suteran łaknie świeżego z pół powietrza, tak i ja pragnąłbym, chociaż raz na lat kilka, odetchnąć lepszą, zdrowszą, czystsą atmosferą myśli.

Samo rozgrzebywanie brudów powszedniego żywota, brudów takich naprzykład, jak nieprzymierzając głosowokierszowopostępowe, — nie jest, wierząc mi, arcy miłym zajęciem.

Kamienny.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Jajko Kolumbowe, grabarze nowojorscy i długowieczność. — Dwa Wola-piki niemiecki i włoski. — Któremu z nich przyznać wyższość? — Wyroby z ludzkiej skóry i najlepsze źródło tego materiału. — Karność rodzinna w Anglii. — Sztuka kierowania balonami, zapomocą kaczek dziennikarskich. — P. Suchorowski i p. Zola. — Konfuzya p. Falb. — Usposobienie pokojowe — Zabiegi niemieckie. — Traktat włosko-niemiecki. — Uzbrojenia. — Awanse w armii bułgarskiej — Finanse bułgarskie. — Stoilow. — Zgromadzenie narodowe.

Jajko Kolumbowe będzie zawsze symbolem umysłów wielkich, które jasnością i prostotą dochodzą tam gdzie najsprytniejsze rozumy mędrków sięgnąć nie mogą. Takim jajkiem Kolumba obecnej chwili jest odkrycie drogi — nie do Ameryki wprawdzie, ale do... długowieczności, i to przez — grabarzy nowojorskich. Ci panowie, gdy im nie chciano podwyższyć taksy za ich usługi, ogłosili bezrobocie, a w manifestach swoim do narodu wzywają go, aby się wstrzymał z zapotrzebowaniami, dopóki sprawa nie zostanie uregulowaną. Nic tedy prostszego: postarać się aby sprawa grabarzy w nieskończoność pozostała nieuregulowaną a stanimy się wszyscy długo, bardzo długowiecznymi!... Co to będzie dla ładna rzecz!

Wtedy już będziemy się mogli oddać bezpiecznie studiom nad Wolapückiem, bez obawy, że nam czasu na zamakowanie w nim zabraknie. Już i teraz w Wiedniu 2,000 osób, uczy się po wolapikowsku; w Paryżu jest dziewiętnaście szkół tego pięknego nie-języka; p. Jalazot, właściciel sławnego *Magazin du Printemps* i wszyscy w rumel jego sibięki, w ilości 121, mówią wolapikiem jak rodowici złodziei..., przepraszam, chciałem powiedzieć: jak rodowici wolapikiści, — a zkad ta przypadkowa omyłka, wytlumaczę zaraz. Oto uczony lingwista włocho Lombroso, badając wysoko wykształcone w swojej ojczyźnie dyalekty złodziejskie, wynalazł nowy, a właściwie stary, całą potęgą wiekowego wyrobienia wyższy od młodego wolapik, w języku włosko-złodziejskim czy tam złodziejsko-włoskim. Rozczulającą ma być łatwość i precyzja, z jaką złodziej ze stoków alpejskich rozmawia i porozumiewać się może ze złodziejem z południowego cypla Sycylii; żaden niemiec wolapikista nie porozumie się tak nigdy z wolapikistą francuzem.

A więc radzimy amatorom kwaśnych jabłek i języka powszechnego, żeby zamiast do Wiednia i Paryża udawali się do Włoch na naukę i do terminu. Tam nauczą się języka, który jest przynajmniej mową, narzędziem kunsztu pewnego, podczas gdy wolapik niemiecki jest mową niczyją; że zaś co się tyczy fachu, są pono wolapikiści niemieccy, którzy nie wiele różnią się od włoskich, więc już zawsze jakoś może składniej będzie żadnym wiedzy udawać się na półwysep Apeniński; uczyć się „pod włoskiem niebem“ to samo przez się coś przecie warto.

Narówni z wynalazkiem wolapiku postawić można chyba najświeższy wynalazek angielski: wyrobów ze skóry ludzkiej!... Wynalazca urządził z tych preparatów rodzaj wystawy w Londynie, na której oprócz portmonetek, torebek i t. p., figurują buciki damskie, rękawiczki i t. d. z tego specjalnie garbowanego materiału. Proszę pomyśleć sobie tylko co to za wdzięczna rzecz: nóżka lub rączka damska opięta skórą bliźniego! Zapewniają, że materiał ten jest niezmiernie wytworny i wytrzymały, ciekawa tylko rzecz zkad go fa-

brykant dobiera?... Gdyby to było w Warszawie, może umielibyśmy wskazać mu dostawców w lichwiarzach, co to żywcem człowieka obdzierają ze skóry, ale w Londynie!... Ha, kto wie może i tam istnieją podobne instytucje.

Dziwny to jednak kraj ta Anglia! Obok objawów tak postępowych jak praktyczne zastosowanie skóry ludzkiej, istnieją tam obyczajnie tak konserwatywne jak nigdzie. Rygor naprzykład i karność domowa, wobec ogólnego rozluźnienia związków rodzinnych, dotrwały tam do dzisiaj w pierwotnej swej prostocie i grozie. W tych dniach np. przed jeden z sądów londyńskich zapozwała niejaka Anna Hewish, 102 letnia obywatelka, córkę swoją 74 letnią Nelly, oskarżając ją o nieposłuszeństwo i samowolny wyjazd na wieś. Sędzia oświadczył powódce, że prawo karania dzieci przysługuje zawsze samym rodzicom, sąd jednak uważa za swój obowiązek wstawić się za obwinioną i prosić matki o wyrozumiałość dla lekkomyślności i płochości, którą poniekąd młodość usprawiedliwia... Pokazuje się tedy, że w tej Anglii można być stuletnim smarkaczem.

Posiadamy nareszcie sztukę kierowania balonami! Wynalazek ten miał zakupić rząd niemiecki za dwa miliony marek. Tak przynajmniej zapewnijają dzienniki niemieckie, które codziennie widzą po nad Metzem uwijające się balony i spływające z nich na miasto strumienie światła elektrycznego. Jako prawy syn końca XIX wieku z dumą przyklasnąłbym temu wynalazkowi, lubo nieznane jeszcze jest nazwisko wynalazcy, gdyby mnie nie powstrzymywało jedno podejrzenie, a mianowicie to, że ponad grobem dobrej sławy Bazaine'a latają nie balony, lecz — kaczki dziennikarskie.

Ale to nic nie szkodzi; można się przecie we wszystkim zadaleko zagalopować; nie tylko w historii o balonach, ale i w realizmie. Doświadczył tego na sobie p. Suchorowski, malarz, znany u nas z dwóch swoich obrazów: „Nana“ i „Rozkoszne marzenia“. Zawiózł on swoją „Nanę“ do Paryża, i chcąc się nią pochwalić, zaprosił przedewszystkiem do jej obejrzenia twórcę pierwowzoru, „Nany“ drukowanej, arcykapłana realizmu, Zolę. Zola przypatrywał się uważnie dziełu p. Suchorowskiego, a w końcu, na zapytanie jak mu się obraz podoba, odrzekł: „Bardzo to ładnie malowane, tylko... trochę za realistycznie...“

Cóż robić! Zawody spotykają ludzi nie tylko takich jak p. Suchorowski, ale nawet takich jak dr. Falb, głosny prorok kataklizmów rozmaitych w naturze. Wiadomo, iż uczony ten wskazał był dzień 23 Marca jako jeden z feralnych dla świata; można sobie zatem wystawić jak się ucieszył, wyczytawszy w gazetach, iż w dniu tym dało się uczuć trzęsienie ziemi w Badenie, pod Wiedniem. P. Falb bowiem cieszy się bardzo, gdy się jego złowrogie wróżby spełniają; — przypominam pobyt jego w czasie trzęsienia ziemi w Zagrzebiu. Tym razem jednak radość niedługo trwała, ustępując miejsca konfuzyi, gdy się pokazało, że wstrząśnienie owo było skutkiem wybuchu młyna prochowego na Wiener-Neustadt...

W świecie politycznym wieje wiatr niby bardzo pokojowy. Półrządowa prasa niemiecka zadowolona jest niby z oświadczeń rządu francuzkiego i udaje przynajmniej że wierzy w pokojowe jego zamiary, a cieszy się niezmiernie z tego, że Boulanger ma być jakoby na swoim stanowisku zachwiany. Z drugiej strony wychwala postawę Rosyji, twierdząc że jej to głównie zawdzięczać należy zwrot pokojowy. Swoją drogą kanclerz obrabia rząd włoski, gdyż ów traktat włosko niemiecki, niby to już zawarty, dotąd otacza jakąś mgłą tajemniczości; przynajmniej prasa francuzka i rosyjska zaprzeczają jego istnieniu; jakoż zdaje się, że zmiana gabinetu włoskiego przeszkodziła ostatecznemu jego zawarciu. Obok tego rząd niemiecki pracuje nad wciągnięciem Turcyi do ligi środkowo-europejskiej.

Zresztą uzbrojenia w całej Europie nie ustają ani na chwilę; zbroi się nawet Holandya, która dotąd dość obojętnie przyglądała się ogólnym przygotowaniom wojennym; a Austria już teraz zamierza zrobić użytek z uchwalonego przez delegacje kredytu 32 milionów guldenów na koszt uzbrojenia, w którym główną i pierwszą rolę grają ufortyfikowanie Pesztu i założenie obozu oszańcowanego pod Koszycami.

Regencya bułgarska trzydziestu kapitanów awansowała na majorów, co miało bardzo dobre wrażenie wyrzucić na armię. Finanse bułgarskie mają się znajdować w nadspodziewanie pomyślnym stanie, tak, że nawet zamierzona pożyczka okazuje się zbytęczą. Pospłacano zaległości z czasów wojny, zarówno urzędnikom, jak dostawcom dotąd nie zaspokojonym.

Stoilow ma pozostać stałym reprezentantem Bułgaryi

w Wiedniu, a zgromadzenie narodowe ma być w każdym razie przed Lipcem zwołane.

E. Jerzyna.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Pogrzeb J. I. Kraszewskiego. Pogrzeb ś. p. Kraszewskiego odbył się w Krakowie, w dniu 18 b. m., według ogłoszonego poprzednio a znanego już i naszym czytelnikom programu.

Na trzy dni przed pogrzebem krypta w kościele ks. ks. Pijarów była otwarta, tysiące więc krakowian i przybyłych nieustannie nawiedzały zwłoki znakomitego pisarza. W dniu zaś pogrzebu, pomimo słoty, już przed wschodem słońca tłumy poczęły się gromadzić na ulicach. O godzinie 8^{1/2}, rozpoczęło się przy zwłokach nabożeństwo żałobne, celebrowane przez rektora kościoła, ks. Słotwińskiego. Przy wyniesieniu zwłok z krypty, przemówił prezes Akademii dr. Majer, sławiąc zasługi i trudy zmarłego. W kościele Panny Maryi, w którym kondukt stanął o godz. 10-tej, mszę celebrował J. E. ks. Biskup Dunajewski i miał stosowną, krótką przemowę, poczem kazanie wypowiedział profesor uniwersytetu ks. Chotkowski. Pochodowi uroczystemu przez ulice, ozdobione chorągiewkami żałobnymi, przy zapalonych latarniach żałobnych okrytych krepą, przewodniczył od Pijarów do Panny Maryi prałat ks. Matzke, ztamtąd zaś na Skalkę ks. rektor Słotwiński. Podczas pochodu, całe duchowieństwo świeckie i zakonne szło przed trumną, a dzwony wszystkich kościołów, w tej liczbie rzadko odzywający się Zygmunt na Wawelu, brzmiały uroczystym jękiem. Po obrzędzie kościelnym u ks. Paulinów na Skalce, przemawiali: p. p. Szlachtowski, Roszkowski i Pietkiewicz (Plug). Wieniów niesiono przy trumnie i złożono na grobie przeszło 350; było ich sporo z Warszawy, z Odessy, z Lwowa, z Pragi Czeskiej, z Paryża, z Włoch i t. d. Przy trumnie straż honorową trzymali studenci; porządku pilnowała liczna straż obywatelska. Cała też podniosła ta uroczystość odbyła się wśród niezakłóconego niczem spokoju i porządku. Dokument o pogrzebaniu zwłok spisał ks. kanonik Polkowski.

Nabożeństwo drukarzy. I drukarze warszawscy, przez których ręce, w ciągu pięćdziesięciu kilku lat, przechodziły prace J. I. Kraszewskiego, uczcili godnie pamięć znakomitego pisarza, urządzając za jego duszę uroczyste nabożeństwo żałobne. Nabożeństwo to odbyło się w dniu pogrzebu, t. j. w dniu 18 b. m., w kościele Św. Józefa Oblubieńca (po-karmelickim). Świątynia była wspaniale przystrojona kwiatami; w głównej nawie, przed prezbiterjum, ustawionym był katafalk otoczony jarzaniem światłem i zielenią, wśród której widniało popiersie a pod nim portret nieodżałowanego nieboszczyka. Mszę żałobną, w otoczeniu duchowieństwa, celebrował rektor miejscowego kościoła ks. Dębowski, przyczem artyści i amatorzy wykonali na chórze pienia religijne.

Uczczenie J. I. Kraszewskiego w Peszcie. Stowarzyszenie Polaków w Peszcie pragnąc okazać solidarność w oddaniu należnej czci ceniom swego członka honorowego, J. I. Kraszewskiego, postanowiło pamięci owej poświęcić uroczyste wspomnienie, które odbyło się w sali Kasyna Przemysłowego w Bazarze Franciszkańskim, w dniu 19-m b. m. o godzinie 7 wieczorem, według następującego programu: O stanowisku J. I. Kraszewskiego w literaturze europejskiej w ogólności, a węgierskiej poszczególnie, mówił członek honorowy stowarzyszenia Maurycy Jokaj (po węgiersku), a następnie mówił po polsku i niemiecku dr. Göllndhay o sześćdziesięcioletniej publicystycznej literackiej działalności J. I. Kraszewskiego.

Wystawa rolnicza. Warszawskie Towarzystwo wyścigów konnych otrzymało pozwolenie na urządzenie nowego szeregu wystaw inwentarza. W tych dniach przeto, w Towarzystwie wspomnionem, pod przewodnictwem hr. Augusta Potockiego, odbyło się posiedzenie, na którym postanowiono wystawę taką urządzić już w roku bieżącym, w pierwszej połowie Czerwca, z nadaniem jej, o ile możliwości, charakteru jarmarcznego. Tym sposobem, na placu Ujazdowskim sąsiadować będą z sobą dwie wystawy: higieniczna i rolnicza.

Wątpliwe dowody. Pan E. Piltz, redaktor i wydawca „Kraju“, w przejeździe przez Warszawę, raczył ogłosić w „Kuryerze Warszawskim“ list, w którym wyrażając jakby zdziwienie z powodu „panującego w pewnych sferach inteligencji ziemiańskiej rozdrażnienia“, wywołanego zachowaniem się „Kraju“ w głośnej sprawie sprzedaży dóbr Russowa, oświadcza zarazem z westchnieniem i ubolewaniem, iż redakcyja „Kraju“ „posiada niestety! w ręku swoim dowody, że podane przez p. Waliszewskiego fakta, dotyczące bezpośrednio sprzedaży dóbr Russowa, są zgodne z rzeczywistością i prawdą“.

Wybaczy nam pan Piltz, ale wystąpienie to jego musimy nazwać równie obłudnym jak tchórzowskim. Bo najpierw, jeżeli

pan Piltz ma „dowody“, iż fakta podane przez p. Waliszewskiego są prawdziwe, czyli, jeżeli ogłaszając te fakta, spełnił jedynie dziennikarski obowiązek, to co go w takim razie obchodzić może owo „rozdrażnienie“, z powodu którego aż — „liety“ ogłasza? Powtóre, pan Piltz wie o tem bardzo dobrze, iż w całej tej sprawie nie szło o samą sprzedaż Russowa i o takie lub inne zachowanie się przy tej sprzedaży właściciela dóbr subhastowanych — ale o niegodne oszczerstwo rzucone w „Kraju“ na cały stan ziemiański i jego instytucję. Szło mianowicie o to, iż pan Waliszewski śmiał napisać a „Kraj“ śmiał wydrukować, że opinia ziemian naszych w ogóle, herbowych i nieherbowych, sympatyzuje z faktami rozmyślnego wyuiszczania majątków, wystawionych na sprzedaż. Szło dalej o to, iż pan Waliszewski śmiał napisać a „Kraj“ śmiał również wydrukować, że Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, dla którego przepisy są rzeczą luźną, nietylko nie przeszkadza niszczeniu majątków przez dłużników, ale jak ów Lejzor z Nalewek, gra rolę zdradzieckiego pośrednika i stręczyciela do zaciągania innych długów, i że członkowie Towarzystwa są współnikami okradających swych wierzycieli bankrutów.

To wszystko było najwyraźniej wydrukowane w „Kraju“ — i teraz pan Piltz, udając niewiniątka, śmie twierdzić w swoim „liście“, iż „zarzut, jakoby „Kraj“ wystąpił przeciwko instytucji Tow. Kred. Ziemskiego, jest niesłusznym“ (!), że Towarzystwo „nie zostało ani jednym słowem dotknięte“!

Doprawdy, o większą... śmiałość trudno — nawet wporód n a j ś m i e l s z y c h... publicystów liberalno-semickich.

Wreszcie i te owe „dowody“, o jakich p. Piltz w „liście“ swoim mówi, wydają się nam równie prawdziwymi, jak wszystko, co tenże pan Piltz do wspólni z panem Waliszewskim ogłosili w „Kraju“. Nietylko bowiem dowody te nie zostały dotychczas opublikowane, ale nadto, w kilka dni po wystąpieniu p. Piltza w „Kuryerze Warszawskim“, ogłosił w temże piśmie „list otwarty“, zajmujący się bezpośrednio sprzedażą dóbr Russowa, pan Stanisław Grabowski — w którym to liście pan G. rzybwa wyrażnie pana Piltza o złożenie zapowiedzianych przez „dowodów“ w ręce grona osób cieszących się ogólnym szacunkiem, równocześnie z temi jednakże dowodami, jakie p. Grabowski gotów jest temuż gronu ludzi szanowanych każdej chwili przedstawić.

No, i czyż nie dość pięknie w całej tej historii wygląda poważny, petersburski „Kraj“, którego *wydawca* tak się zaniepokoił „rozdrażnieniem“, czyli, mówiąc otwarcie, prawdopodobnie i wielce zasłużonem wydaleniem jego organu z oczernionych niewinnie naszych dworów ziemiańskich — że aż popułnił jeden więcej — absurd?!

Nowości wydawnicze. Wyszły świeżo, z drukarni Czerwińskiego dwie książeczki (cena każdej 2^{1/2} kop.), których rozpoznać chcielibyśmy polecić szczególnie czytelnikom naszym. Jedną z tych książeczek zawiera „Żywot Św. Andrzeja Żórawka Pustelnika“, druga zaś „Żywot Św. Benedykta Męczennika“. Obaj święci ujrzeli światło dzienne na ziemi naszej w okolicach Pińczowa, i obaj wyszli ze stanu włościańskiego; ztąd też poznanie ich żywota przez lud nasz wiejski przynieść może ludowi temuż tem większą korzyść duchową. Polecamy więc obydwie te książeczki szczególnie, a czynimy to tem chętniej i skwapliwiej, że napisane są językiem czystym i dla maluczkich najzupełniej dostępnym, za co też, jak i w ogóle za pracę w tym kierunku, autorowi, pełnemu znacznych, prawdziwie chrześcijańskich dążeń, p. Stanisławowi w Brzozowskiemu — w tych zwłaszcza czasach propagandy bezwyznaniowości — należy się z naszej strony serdeczne: Bóg z a p ł a c !

Z prasy. Wydawnictwo czasopisma p. t. „Przemysłowiec“ zawieszonem zostało do czasu utworzenia się nowej spółki wydawniczej.

„Wędrowiec“ przeszedł z rąk pana Józefa Piotrowskiego na ponowną własność p. Gruszeckiego.

Z teatru i muzyki. Na scenie teatru Wielkiego, ma być granym dramat p. t. „Mazur Czart“, napisany przez p. Wincentego Rapackiego.

Do Warszawy ma zjechać trupa niemiecka (!) pana Wehna i dać dziesięć przedstawień gościnnych.

SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

21 Kwietnia 1887 r.

Mimo „niepomyślnych“ jakoby wiadomości z rynków amerykańskich, targi zbożowe na wszystkich rynkach europejskich były mocne a ceny wyższe niż w poprzednim tygodniu sprawozdawczym.

W Gdańsku i Toruniu płacono również ceny lepsze, a na targach warszawskich, wobec zwłaszcza nader ograniczonych dowozów, zwyżka zaakcentowała się nawet dość wyraźnie.

Na placu Witkowskiego za korzec pszenicy

wyborowej płacono 8.20—8.40, średniej dobrej 8.10—8.15, średniej 7.80—7.90. Żyto również podniosło się w cenie. Za korzec średniego płacono 5.00 — 5.10. Jęczmień średni płacono 4.30 — 4.40. Owies także droższy; płacono bowiem po 2.80—3.20 korzec. Łubin niebieski sprzedawano po 4.25 — 4.35, żółty po 5.40 do 5.60 korzec. Wykę wielce w tych czasach poszukiwaną, płacono po 5.70—5.80 korzec.

Na stacyi w Praga pszenicę wyborową płacono 1.33—1.36 kop. za pud, średnią 126—129, ordynaryjną 114—116. Żyto wyborowe 84—86, średnie 81—83, ordynaryjne 74—76. Owies wyborowy 85 — 86, średni 80 — 81, ordynaryjny 71—72 kop. za pud.

W Libawie ceny pozostały te same jakie były w tygodniu poprzednim, gatunki tylko wyborowe podniosły o 1 do 2-óch kop. na pudzie.

W handlu o k o w i t ą usposobienie mocne zapotrzebowanie zwiększone. W Hamburgu cena regulacyjna wynosiła 25½, marek za 100 litrów. Na rynku warszawskim płacono za garniec w sprzedaży hurtowej 2.63—2.65, w detalicznej jak zwykle o parę kopiejek wyżej.

Na targu prazkim przy dostawie zwyczajnej, płacono za najlepszego wołu stepowego 109—110 rubli, za średniego 85—90.

Na rynkach żywnościowych i w tygodniu ubiegłym nie zaszły żadne zmiany ważniejsze któreby nam wypadało zaznaczyć.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. J. Nieborskiemu z „Głosu”. — Jeżeli pan nie działasz w rozmyślnej złej wierze, to zechciej wskazać źródło, z którego zaczerpnąłeś tę ciekawą dla nas wiadomość, iż „na podstawie akt stanu cywilnego w Działoszycach, można do wieść (!) że p. Jeleński jest najkompetentniejszym sędzią w sprawie żydowskiej. Nam bowiem wiadomem jest tylko, że rodzina redaktora „Roli”, zamieszkała od bardzo dawna, w części w Galicyi a w części w Królestwie, pochodzi z dzisiejszych gubernij mińskiej i wileńskiej; że żaden z tych Jeleńskich nigdy w Działoszycach, ani w parafii Działoszyckiej nie mieszkał, że więc żadnego, dotyczącego ich dokumentu w aktach stanu cywilnego być tam nie może i nie ma. Jeżeli zaś w Działoszycach byli lub są Jeleńscy i jeżeli są lub byli żydami, to mogą oni z rodziną redaktora „Roli” mieć tyle wspólnego — ile ma np. dzisiejszy zastępca redaktora „Głosu”, pan J. Potocki — z Potockimi z Krzeszowic albo z Willanowa. Jakież więc cel tego kłamstwa nowego? Mielizbyście, panowie przyjaciele, obrońcy i słudzy Izraela każdego, kogo chcecie zbezczeszczyć i zniesławić, robić gwałtem — z y d e m? Miałoby i w waszych oczach liberalnych, tolerancyjnych etc., to słowo: żyd być największą obelgą? Ale, ale; — że też to panowie, co tak pilnie badacie pochodzenie ludzi nie mających żadnych z wami stosunków, nie pytałicie wcale niedawnego waszego redaktora i chlebobdawcy a słynnego dziś K i e r s z a, jeżeli już nie o jego pochodzenie istotne, to przynajmniej o pochodzenie jego — pieniędzy?...

P. Wład. Putwińskiemu w Graw... — Wybaczysz Sz. Pan, ale dla nas, mogących na utwory beletrystyczne przeznaczać niewiele stosunkowo miejsca, rozpoczynanie i kończenie powieści w pełnych, z góry oznaczonych terminach, a tem mniej w terminach kwartalnych, jest niemożliwym. Słusznemu wszakże żądaniu temu czytelników mogą i powinny nawet czynić zadość pisma poświęcone wyłącznie lub przeważnie — beletrystyce.

P. S. M. w Warsz. — Żałujemy bardzo żeśmy o tej sprawie nie wiedzieli poprzednio; dzisiaj po fakcie zebranie szczegółów byłoby dla nas dość trudnem.

P. Wróblewskiemu w Warsz. — Listu całego pomieścić nie możemy; o fakcie jednak uczynimy wzmiankę.

R z e m i e ś n i k o w i. Wszystko co było powiedzianem w „Dzienniku dla wszystkich” jest najistotniejszą prawdą. Ów „reprezentant stanu rzemieślniczego”, nietylko że urządził bankructwo symulacyjne, ale nadto, jako b. Starszy, „pożyczył sobie” pieniędzy z kasy Zgromadzenia, bez wiedzy tegoż Zgromadzenia, o czym zresztą ogłoszony drukiem raport Komisji rewizyjnej tegoż Zgromadzenia najwyraźniej świadczy. Dlaczego zaś pan M. osłania swoją firmą uczei w ą dzisiejsze przedsiębiorstwo wydawnicze t a k i e g o... jego mości, tego i my zrozumieć nie możemy. Jest to chyba jeden z dowodów, że upadek zdrowych pojęć moralnych i brak opinii przechodzą już u nas granice — możliwości.

REKLAMY.

Czytamy w „Soleil”:

Bardzo nikłą byłaby wziętość jakiegoś produktu bez jego rzeczywistych zalet. Rozgłos może pomagać powodzeniu, lecz go nie utrwała. W istocie bowiem warunkiem niezbędnym dla trwałego powodzenia, jest rzeczywista dobroć produktu.

Tem właśnie odznaczają się kapsułki Guyot'a, używane do leczenia kaszlu, chrypki, kataru, lub astmy.

Wszyscy chorzy uciekający się do tego środka, doznali dobroczynnych jego skutków. Podpis Guyot'a, wydrukowanym jest na każdej białej kapsułce, zewnętrzna zaś etykieta nosi również ten sam podpis, lecz w trzech kolorach.

(16) 1—1

Zakład Brązowniczy G. Roszkowskiego, Długa Nr. 25 (Eldorado), wykonują specjalnie wyroby kościelne, Żyrandole, Lichtarze piękne brązowe, Monstrancje, Formy do opłatków, Świeczniki, oraz przyjmuje stare przedmioty do odzlacania i srebrzenia.

(4—3)

OGŁOSZENIA.

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki, Koldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie”. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

52--17

Fabryka i Magazyn
Józefa BUCHERA
JUBILERA
TEATRÓW RZĄDOWYCH
Sprzedaje
Wyroby Złote, Srebrne
i Brylantowe
Najtańiej
Z czem się poleca.
Marszałkowska 139
8-my dom
od Ogrodu Saskiego.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych i wszelkich stalowych ostrzych, oraz Bandaży

52-16

I. Jodłowskiego

Białańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych.



KRAWIEC

A. GOBIEC — znany z sumiennego wykonywania robót, obecnie Marszałkowska 139 — przyjmuje, jak zwykle, wszystkie obstalunki, tak z własnych jak z łaskawie powierzonych materiałów, wykończając pospiesznie i tanio.

(6-1)

Nowo otworzona Fabryka Polska TKANIN METALOWYCH

oraz

Wszelkich Wyrobów Drucianych

(52 25)

E. CHRZANOWSKIEGO,

W WARSZAWIE,

Białańska 16 (12) dom p. Zawiszy.

Poleca: Siatki ochronne przeciw muchom i wszelkim owadom, przy otwarciu okien, Siatki druciane dla fabryk papieru, cukrowni, krochmalni, cykory, cementu, młynów, suszarni, dla browarów, gorzeln. Wszystkie przybory pszczelnicze. Sita do kończyny białej i czerwonej, specjalnie przeznaczone, które oczyszczają bąbkę, kaniankę i szczawik; za sita te, mimo konkurencji, ja jeden zostałem zaszczycony nagrodą. Cena trzech sit do kończyny czerwonej rs. 3 kop. 70, a trzech sit do białej rs. 3 kop. 30. Sita do czyszczenia wszystkich zbóż z groszku, kakaolu i kostrzewy. Liny do transmisji. Materace druciane, elastyczne do łóżek, arfy do ziemi i zwiru, cylindry do czyszczenia zboża i rafy, oraz wszelkie wyroby galanterijne, manekiny do upinania sukien, tak druciane jak i paryżkie od rs. 4, które się rozsuwają podług wzrostu i tuszy. Pudła francuzkie do noszenia sukien. Fabryka przyjmuje ogrodzenia ogrodów i kłębów oraz płotów drucianych, po cenach nader niskich.

J. SPORNY, Inżynier.

16-4

WARSZAWSKIE

PRZEDSIĘBIERSTWO ASFALTOWE

i FABRYKA TEKUR.

poleca:

Asfalt (mastic) tekturę do krycia dachów i lak asfaltowy, smołę oczyszczoną bitum i gudron, oraz wykonują roboty asfaltowe, dekarskie i betonowe po cenach nader umiarkowanych.

Oprócz zwyczajnych tektur do krycia dachów w różnych gatunkach, Przedsiębiorstwo produkuje taflę izolacyjną (isolirplaty) i wszelkie materiały potrzebne do krycia dachów, jako to: listwy trójkątne, paski, gwoździe i t. p.

Przedsiębiorstwo poleca również wyroby z betonu mianowicie: chodniki w monolitach, rynsztoki i burty.

Zamówienia przyjmują się w Kantorze Przedsiębiorstwa w Warszawie, ulica Erywańska (Plac Zielony) Nr. 14.

Specjalna Fabryka i Magazyn Bielizny Męskiej

A. KIERST i S-ki

5. Bielańska 5. (vis-a-vis Daniłowiczowskiej),

poleca w wielkim wyborze:

Koszule męskie wykonywane podług najwspanialszych fasonów, od rs. 1.50—Kołnierzyki i Mankiety—wielki wybór Krawatów, Spinek i Szpilek najmodniejszych—Kalesony, Skarpetki jedwabne, fildecose i bawełniane bez szwu—Kaftaniki trykotowe wszelkich rodzajów—Chustki do nosa—Cachenez na szyję, jedwabne—Szelki, Laski etc.

Wszelkie zamówienia wykonywają się starannie i spieszenie, po cenach najniższych.

(26-3)

SKŁAD MEBLI

13-7

MAJSTRÓW STOLARSKICH

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,
Nr. 60 (150 nowy), 1-sze piętro.

Pragnąc dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych, produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od najskromniejszych do wykintnych, przyjmuje również zamówienia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć towaru i roboty.

J. TUROWSKI

MALARZ-DEKORATOR ROBÓT KOŚCIELNYCH I POKOJOWYCH

ORAZ WSZELKIEGO RODZAJU ROBÓT

Nowy-Świat Nr. 23.

ZWYCZAJNYCH. (52-14)

1879

KOSZULE MĘSKIE

1879

1885

znane powszechnie szczególnie

1885

1886

z osobiście ulepszonego kroju,

1886

z gwarancją dobrego leżenia,

nagradzane na wystawach — poleca firma

Władysława Strakacz

Specjalne cenniki, ze sposobem brania miary, z dołączeniem centimetru, na żądanie odwrotną pocztą wysyłają się gratis. Firma również rekomenduje:

Hygieniczne Siatkowe Keszulki

zalecane przez najpoważniejszych Doktorów, jako najzdrowsze donoszenia na gołem ciele, z bawełny, wełny i jedwabiu,

Wyroby z prawdziwej Wełny Sosnowej

znane od dawna jako środek przeciw reumatyzmowi, artretyzmowi i łamaniom kostnym — i

Alpejski Sosnowy Olejek z Reichenhall.

CENY STAŁE.

(13-7)

Miodowa 14 w Warszawie 14 Miodowa.

„ZŁOTY UL”
FABRYKA PIERNIKÓW

w Warszawie, — Nowy-Świat Nr. 7,

poleca:

Pierniki słodowe, Chleb miodowy (Pumpernickel) zalecany zagranicą przez lekarzy na wszelkie dolegliwości żołądka, oraz cierpienia hemoroidalne; — ułatwia trawienie u osób słabych i wątłych dzieci.

Fabryka nabywa miód wprost od producentów, w każdej ilości po cenach targowych, oraz miody do picia. (52-7)

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885.

DYPLOM UZNANIA.

ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.

MAGAZYN MEBLI

ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tłomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowanie pokoiów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszych potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracyjne, podług najwspanialszych żurnali (13-3)

Zakłady Wapienne

SULEJOWSKIE I OPOCZYŃSKIE

firmy

„JÓZEF BANDURSKI i S-ka”

Określiwszy przymioty naszego wapna, w poprzednich ogłoszeniach, więcej teoretycznie, przy zaznaczeniu ilości i sposobu produkcji oraz załączeniu szczegółowych analiz, wykazujących na 100 części 99 $\frac{1}{2}$ czystego wapna; niniejszem zwracamy uwagę, na fakt stwierdzony w praktyce, przez pp. Budowniczych, Majstrów mularskich i Przedsiębiorców że wapno nasze prócz wielu cennych przymiotów, wrobocie jest tak tłuście i wydajne, iż po zlanowaniu go i użyciu do robót, przyrost wykazuje się co najmniej 25% więcej w porównaniu z innymi (do 1000 cegieł użytej do muru z wyprawą, potrzeba użyć innych marek 2 $\frac{1}{2}$, do 3 ch korcy, naszego zaś nigdy więcej nad 2 korce) zatem do kalkulacji ceny, tę różnicę, należy brać w uwzględnienie, z czego wypada, że wapno nasze nietylko jest najlepsze ale i najtańsze!

Konkurencja znając te przymioty podszywa się pod miano Sulejowskiego, ze sprowadzaniem **posledniejszeni markami** (najwięcej kolorem zbliżonymi do Sulejowskiego) rekomendując je za Sulejowskie węglem palone i jakoby z naszych zakładów pochodzące, objaśniając przytem w naiwnej nieświadomości, że wapno wypalone drzewem lepsze jest od wypalonego węglem (!) dyskredytuje tym sposobem nasz produkt i wyrządza nam krzywdę! W obronie zatem własnego interesu, nie możemy tych manewrów konkurencyjnych, skierowanych nietylko na naszą szkodę ale i ogółu interesowanego, pokrywać milczeniem i dla tego niniejszem ostrzegamy kogo należy.

Wapno przez nas produkowane, wysyłamy na wszystkie Drogi Żelazne, za gotówkę, lub zaliczenia kolejowe (nachahme). Zamówienia przyjmuje kantor nasz w Warszawie Okopowa № 10. Tamże zamawiać można: CEMENT, GIPS, CEGŁĘ i GLINKĘ ogniotrwałą, TRZCI- NĘ i t. p. 0-8

KOŃSKI ZĄB

3-3

Amerykański, świeży, jak również wszelkie nasiona pastwne, ogrodowe, kwiatowe i leśne, otrzymał

SKŁAD NASION I MACHIN ROLNICZYCH

A. Rodkiewicz

w Warszawie, ulica Nowy-Zjazd Nr. 5.

Z KAPITAŁEM RS. 2000

i funduszem na wkład w kwocie rs. 500 potrzebny jest zaraz wspólnik do interesu handlowego nie obciążonego żadnymi długami. Interes ten nawet w dzisiejszych czasach ogólnego zastoju, idzie bardzo dobrze i dziś zapewnić może współwłaścicielowi najmniej 1500 rs. czystego dochodu! Obecny właściciel polak, chrześcianin, życzy sobie współnika również polaka i chrześcianina, któryby razem z nim pracował.

Współka potrzebna jest z powodu braku kapitału obrotowego. (6-4)

Zapewnia się sumienne pod każdym względem przedstawienie interesu, bez żadnych nieuczciwych okłamywań, bez żadnego podstępnego w błąd wprowadzania.

Oferty w Redakcyi „Roli” pod napisem M. B. S.

Dla kaszających i osłabionych

EKSTRAKT i KARMEŁKI miodo-ziolowo-słodowe

Fabryki „LELIWA”,

w Warszawie, ul. Zgoda Nr. 6,

analizowane i uznane przez Radę Lekarską. Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie, 50% tańsze od niemieckich, faszka ekstraktu kop. 75, paczka karmelków kop. 15. 52-11

Specyalna Fabryka i Magazyn
BIELIZNY

L. GAŁKOWSKIEGO

w Warszawie,
Marszałkowska Nr. 133,
róg Ś-to Krzykiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, — Kołnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. — Kalesony, Skarpetki i Szelki. — Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmodniejszych. — Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. — Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera.

Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spiesznie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męskich.“

52—21

HURTOWO-DETALICZNY
SKŁAD WYROBÓW TABACZNYCH

PAWŁA KOŁODZIEJSKIEGO i S-ki

przy ulicy Nowy-Świat Nr. 51 (róg Wareckiej).

10—10

Poleca:
wielki wybór cygar, tytoniu i papierosów, z wyszyskich fabryk rosyjskich i miejscowych, oraz gilzy własnej fabryki, z prawdziwej francuskiej bibułki „ABADIE“.
Dla P. P. Handlujących odstępuje towar na najkorzystniejszych warunkach.
Cenniki
na żądanie franco.

JÓZEF SKWIERCZYŃSKI

KRAWIEC

Warszawa, Mazowiecka 8.

poleca na sezon bieżący, świeżo otrzymane

MATERYAŁY FRANCUSKIE I ANGIELSKIE
i wszelkie przybory toalety męskiej.

3—3

Dep. Przem. i Hadn., St.-Petersb., N. 1360.

Broszurka bezpłatnie.
Gwarancya 15-letnia.



„**Exsiccator**“

Osusza wilgoć w starych domach, zabezpiecza **NOWE** od tejsze, niszczy **Grzybek**, zabezpiecza od **GNICIA** wszystko co z drzewa. **Dezynfektuje**. Zastępuje **OLEJNĄ FARBĘ** we wszelkich kolorach, będąc tańszym od tejsze o 50%.

52-41

Inżynier Ritter, *Królewska 39.*

Fabryka Kufców, Waliz, Toreb, oraz wszelkich przyborów do podróży, konnej jazdy i polowania, Kurtki, Spodnie, Płaszcz skórzane, Płaszcz, Peleryny gumowe, Pugilaresy, Portmonetki, Portygary, Teki, Portfele poleca
FABRYKA I MAGAZYN
T. L. BREYMEYER
Warszawa,
ulica Królewska Nr. 1,
(róg Krak.-Przedm.)

Polski Kantor Bankierski
RADZISZEWSKI i S-ka (52-15)
WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

SKŁAD PAPIERU materiały piśmienne i rysunkowe, **Drukarnia** pośpieszna, oraz **Kantor Gazet** i pism peryodycznych wychodzących w Warszawie, z Ekspedycją tychże na prowincję

St. Winiarskiego

w WARSZAWIE, NOWY-SWIAT Nr 62
(Marki pocztowe za Gazety, przyjmują się jako gotowizna.)

NASIONA 4—4

WYBOROWE — polecają:

ESTREICH i PODBIELSKI

Warszawa — Hotel Niemiecki.

Biszkopty, Herbatniki, Ciasteczka drobne do wina.

Róg Marszałkowskiej
i Zielonego Placu.



Róg Marszałkowskiej
i Zielonego Placu.

(12—3)

Cukry deserowe, Czekoladki, Kakao kuracyjne.

Treść numeru: Przeciw tandeciel... (markowanie wyrobów rzemieślniczych) dok. — Tragedya życia (wspomnienie w każdym słowie prawdziwe), przez Józefa Rogosza. — Francya żydziata (d. c.) — Idealy belletrystyki pozytywnej (d. c.) — Na posterunku, feljeton Kamiennego — Z całego świata. — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Sprawozdanie handlowe. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — **W odcinku:** Przez dolinę łez, powieść J. Rogosza (d. c.)